TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ“ I KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW

pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO

Nr. 11 — 1934 R.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.
Ogłoszenia 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 35 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270.
REDAKCJA: Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 843-04, godz. 18—19.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Rynek St. Miasta 38, 1 p. tel. 511-07.

TREŚĆ:

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Kazimierz Kalinowski. — U wrót Azji. Co widziałem nad Uralem. (Odczyt publiczny, wygłoszony w Krakowie dnia 20 marca 1934 r. w cyklu Wykładów Powszechnych Uniwersytetu Jagiellońskiego). — Warszawa — 1934. Skład Główny Dom Książki Polskiej. Str. 16.

W. Mroczek. — Państwowa Średnia Szkoła Techniczna w Radomiu w roku szkolnym XV. 1933 — 1934. — Nakładem czasopisma „Ku Szczytom", wydawnictwa Koła Historyczno-Polonistycznego. — Radom. 1934. Str. 240. (Na str. 200 — 203 Sprawozdanie z działalności „Kółka propagandy antialkoholowej").

T R E Ś Ć

Numeru poprzedniego „Trzeźwości" (9 — 10 za wrzesień - październik r. 1934):

TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ" I KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW.

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 11 LISTOPAD 1934 ROK IX

I-mu POLSKIEMU ZJAZDOWI ABSTYNENTÓW SERDECZNE ŻYCZENIA NAJLEPSZYCH WYNIKÓW OBRAD SKŁADA

REDAKCJA.

CUI BONO?

„Każdy rozumny człowiek, każdy dobry obywatel kraju rozumie konieczność zaciętej i nieubłaganej walki z alkoholizmem"... „Rząd, wnosząc nowy projekt ustawy..., zamierza tę ustawę wprowadzić w całej jej rozciągłości w życie i przestrzegać pilnie jej wykonania, że tak powiem, co do przecinka".

Pos. Dratwa.

„Liczba punktów sprzedaży alkoholu w Polsce może wynosić 20.000. Nie jesteśmy jednak przeciwni temu, ażeby liczba ta była powoli i stopniowo z uwzględnieniem momentów gospodarczych redukowana, i w związku z tem wnieśliśmy rezolucję, która umożliwi p. Ministrowi Skarbu stałe i stopniowe redukowanie tej liczby. Niewątpliwie, że ustawa... po pewnym czasie będzie przedmiotem nowelizacji i wówczas oczywiście jeszcze w znacznym stopniu zniżymy cyfrę, którą dziś ustalamy"... „Nie pozwolimy sobie narzucić tej tezy, jakoby obecny Rząd i Bezpartyjny Blok dążyły do rozpajania narodu i powiększania niedoli społecznej stąd płynącej".

Sen. Błędowski.

„Zasadniczą rzeczą dla mnie i dla moich kolegów jest, aby ta ustawa wyraziła tendencję, że ta liczba miejsc sprzedaży alkoholu (20.000) jest za wysoka i że powinno się dążyć do jej zmniejszenia".

Pos. Dr. Dyboski.

„W mojem przekonaniu lokalne plebiscyty są właśnie znamieniem społecznego charakteru tego zagadnienia" (miejscowego zakazu sprzedaży napojów alk.)... „Ustawa... przewiduje upoważnienie Rządu do rewizji tej ilości koncesyj w kierunku zmniejszenia. Zresztą po tej linji rozwijają się wypadki, aczkolwiek nie tak szybko, jak chciała to ustawa z r. 1920. Ilość koncesyj stale się zmniejsza, a od czasów powojennych ulega bardzo poważnemu zmniejszeniu. A więc właśnie dlatego zupełnie słusznie została zgłoszona poprawka na Komisji, ażeby przewidzieć

to dalsze zmniejszenie i tem samem sprawę tę co pewien określony termin czynić aktualną... ta ustawa istotnie ułatwi sanację moralną, bo jest tak skonstruowana, ażeby mogła być wykonywana".

Wiceminister Skarbu *Starzyński.*

Z przemówień podczas dyskusji nad Ustawą Przeciwalkoholową w Sejmie i Senacie w marcu 1931 r. (Według stenogramów).

Bez uprzedniej dyskusji publicznej, niespodziewanie, a bez żadnej widomej po temu przyczyny i potrzeby, bez wysłuchania opinji ciał ustawodawczych przygotowany i wymierzony został w ustawę przeciwalkoholową nowy cios.

Ustawa ta, istniejąca od r. 1920 była znowelizowana przez Sejm i Senat na skutek żądań Ministerjum Skarbu dn. 21.III. 1931 r.

Wobec nader stanowczych oświadczeń, złożonych wówczas przez p. Wiceministra Skarbu, Starzyńskiego, przez referenta w Sejmie p. posła Dratwę, i referenta w Senacie zmarłego senatora Błędowskiego i innych mówców z B. B. W. R. — ustawa przeciwalkoholowa w nowej swej postaci miała być ściśle, lojalnie, „aż do przecinka" wykonywana.

Minęły trzy lata — podczas których w związku ze wzmagającym się coraz bardziej kryzysem i bezrobociem — alkoholizm zaczął zmniejszać się wyraźnie; jednocześnie nie zachodziły żadne fakty, któreby mogły wskazywać na to, że nowa, „ulepszona" i „zastosowana do potrzeb życia" ustawa przeciwalkoholowa była zanadto uciążliwa dla szynkarzy, lub, żeby stała się raptem niewykonalną...

Nie, cicho było koło niej...

Zmiany, przeprowadzone w r. 1931 ulegalizowały istniejący wówczas nadmierny stan liczbowy koncesyj alkoholowych, dopuściły alkohol na koleje, do kasyn wojskowych, „złagodziły" ograniczenia świąteczne, zniosły wszystkie uchwalone już zakazy gminne, a przeprowadzenie nowych podobnych uchwał utrudniły bardzo — czyli, że dawna ustawa „leżała".

Efekt tych wszystkich zmian był niewątpliwy; np. liczba gmin „suchych" w r. 1930 wynosiła 265, a w roku 1932—tylko 24! Uchwalona zaś liczba 20.000 koncesyj alkoholowych na całe Państwo okazała się w dobie kryzysu tak hojną, że podobno nawet w całej pełni dotychczas nie została zrealizowana.

W tym stanie rzeczy nowe, a daleko idące, okrojenia, dokonane na resztkach dawnej ustawy — budzą uzasadnione zdumienie, gdyż właśnie w obecnych warunkach depresji ekonomicznej, niepodobna znaleźć dość silnych argumentów na rzecz uzasadnienia dokonanych radykalnych zmian...

Prawda, trzeba to przyznać — od chwili swych narodzin w r. 1920 ustawa przeciwalkoholowa nie była ściśle wykonywana, ale i o tem też należy dobrze i dokładnie pamiętać, że fakt ten nie był skutkiem niewykonalności przepisów tego prawa, ale niechęci organów wykonawczych do ich stosowania.

Podczas nowelizacji w r. 1931 sprawa zmian w ustawie przeciwalkoholowej była przedmiotem dość długich obrad i w Sejmie, i w Se-

nacie. Zmiany przeprowadzone były w myśl wskazań Rządu przez większość obu Izb.

Mimowoli więc ciśnie się pytanie, co się stało, że tak nagle uznano za konieczne zmienić lub uchylić to, co jeszcze tak niedawno miało być nie tylko dobre, ale i zasługiwało na ścisłe wykonywanie, „do przecinka"?

Ustawa przeciwalkoholowa z dn. 31.III. 1931 r. zawierała m. in. jeden wysoce znamienny przepis, wprowadzony na żądanie Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem.

„Upoważnia się Radę Ministrów do stopniowego zmniejszania ilości miejsc detalicznej sprzedaży napojów alkoholowych... przez poddanie rewizji tej ilości w dwa lata po wejściu w życie niniejszej ustawy, a następnie co pięć lat".

I tu, jak się nam wydaje, leżała moralna treść resztek dawnej ustawy przeciwalkoholowej z r. 1920; mianowicie *tendencja do ograniczania i zmniejszania liczby koncesyj alkoholowych*, a więc zmniejszania alkoholizmu i jego skutków.

Bo nie przepisy o wysokości %-wej alkoholu w napojach, nie przepisy o odległościach szynków od szkół lub kościołów, nawet nie sankcje karne stanowiły o istocie i o duchu tej ustawy w redakcji pierwotnej i następnej, ale o duchu i treści ustawy decydowały przepisy, wskazujące na to, że ustawy te dążyły do stopniowego zmniejszania alkoholizmu i klęsk, spadających z tego powodu na ludność.

Aczkolwiek obecnie pozostawiono jeszcze pewne ograniczenia, ale mają one jedynie jakieś ułamkowe, przypadkowe znaczenie, bo nie znajdują oparcia w sensie wewnętrznym ustawy, która go została całkowicie pozbawiona przez skreślenie przepisów, ograniczających liczbę miejsc wyszynku, pozwalających na stopniowe zmniejszanie z biegiem lat tej liczby, oraz dających ludności poszczególnych gmin prawo uchwalania na swym obszarze całkowitego zakazu. Przez uchylenie tych przepisów— unicestwiono rdzeń ustawy przeciwalkoholowej.

Gdy w Sejmie Ustawodawczym zgłoszone zostały wnioski w sprawie ustawy przeciwalkoholowej i w sprawie powołania do życia monopolu spirytusowego — Sejm z całą świadomością swego czynu dał pierwszeństwo zagadnieniu konieczności walki z alkoholizmem. W r. 1924 słuszna ta linja postępowania została skrzywiona przez uchwalenie ustawy o państwowym monopolu spirytusowym. Nieunikniony stał się konflikt dwu tez, dwu tendencyj: społecznej — walki z klęską alkoholizmu, i fiskalnej — opierania poważnej części dochodów państwowych na zyskach ze sprzedaży wódki. Walka trwała lat 10.

Zbytecznem byłoby teraz przypominać dzieje tej epopei „alkoholowej", ale warto, ale należy przytoczyć tu parę głosów wysoce kompetentnych, a dotyczących właśnie istoty pojmowania *zasadniczej treści* całego wielkiego zagadnienia zwalczania alkoholizmu, jako klęski społecznej.

Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich odbyty w Warszawie w r. 1925 (pierwszy w Odrodzonej Polsce, a liczący przeszło 5.000 uczestników) powziął, jako rezolucję naczelną — uchwałę wskazującą Rządowi i społeczeństwu polskiemu na konieczność zwalczania przedewszystkiem dwu wielkich klęsk społecznych, a mianowicie: *gruźlicy* i *alkoho-*

lizmu; w kilka lat później (1929 r.) następny Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich w Wilnie powziął m .in. niezmiernie charakterystyczną uchwałę:

„Istnienie państwowego monopolu spirytusowego jest wręcz sprzeczne z racjonalnem zwalczaniem alkoholizmu. Monopol ten powinien być stopniowo usunięty“.

Monopol nie tylko nie został usunięty, ale się umacnia w Polsce coraz gruntowniej, natomiast coraz żałośniej wygląda ustawa przeciwalkoholowa.

Świetnie to ujął *Dr. J. Frostig* w swej „Psychjatrji“ (Lwów — 1933 r., T. II. str. 265):

„Pamiętać jednak należy, że system monopolowy, obliczony na dochód, propaguje i szerzy pijaństwo, choćby z drugiej strony państwo przeciwko temu występowało z propagandą antyalkoholową. W państwach o nieograniczonym monopolu alkoholowym prowadzi ministerstwo skarbu stałą walkę z urzędem zdrowia. Zwyciężają względy fiskalne, a państwo ofiaruje wzamian za pozycję budżetową zdrowie przynajmniej dwu, jeżeli nie więcej pokoleń narodu“.

To „ofiarowanie zdrowia narodu wzamian za pozycję budżetową“ odbywa się w momencie szczególnie niebezpiecznym — głębokiego przełomu gospodarczego, ustrojowego i moralnego — jest więc stokrotnie groźne.

Już sam fakt niedojadania i głodowania szerokich mas nakazywałby jaknajwiększą troskliwość o niedopuszczanie do jeszcze większego rozpowszechniania trucizny alkoholowej, działającej szczególnie szkodliwie na organizmy wycieńczone.

Stwierdzony ostatnio rozwój alkoholizmu, a nawet i eteryzmu i zastraszającej demoralizacji wśród dzieci w wieku szkolnym, wzrost liczby narkomanów, o czem świadczą coraz liczniejsze procesy sądowe — potwierdzają całkowicie myśl naszą; a gdy dodamy do tego zwiększanie się gruźlicy i liczby psychicznie chorych w naszych szpitalach psychjatrycznych — musimy przyznać tem większą słuszność wyżej przytoczonemu twierdzeniu wybitnego psychjatry.

Piszemy te słowa nie w celu wyjawiania próżnych utyskiwań i żalów, ale w celu stwierdzenia, że w obecnie wytworzonych warunkach — główny ciężar zadań w walce z alkoholizmem przenosi się na barki społeczeństwa — obyż potrafiło ono w tej wielkiej i trudnej dziedzinie zrozumieć to i odczuć obowiązek swój wobec samego siebie i Państwa i obowiązek ten należycie wypełnić!

Nie może być jednak mowy o tem, aby się Państwo miało wyrzec całkowicie myśli o zwalczaniu alkoholizmu — przeciwnie, skoro w dziedzinie tej opuszcza niemal całkowicie drogę oddziaływania ustawodawczego—tem usilniej i energiczniej winno popierać inicjatywę społeczną.

STRATEGJA I TAKTYKA W WOJNIE O TRZEŹWOŚĆ NARODU.

Pamięci mego nauczyciela trzeźwości ś. p. Aleksandra syna Andrzeja Timofiejewa.

MOTTO: „Nie gowori, czto ja pjan, kogda na swoich nogach domoj priszoł; wot, jeżeli czełowiek leżyt i nie dyszyt, worona u niewo głaz klujot, a on nie słyszyt, wot eto nazywajetsia czto czełowiek diejstwitielno pjan" *).

W każdej działalności ludzkiej odróżnić musimy dwie rzeczy: cele, do których dążymy, i te czynności wstępne, które musimy wykonać, by stworzyć warunki, umożliwiające nam osiągnięcie zamierzonych celów.

Jeszcze ś. p. Lew Tołstoj zauważył w jednem ze swych pism, że piec chleb, nie rozczyniwszy ciasta, można tylko w teatrze. Życie zaś uczy, że dla tego, by upiec chleb dla swojej rodziny, skrzętna gosposia musi uprzednio rozczynić ciasto, zmieszawszy mąkę z wodą w zakwaszonej dzieży.

Jeżelibyśmy chcieli zanalizować przyczynę niepowodzeń Anki, goniącej za szczęściem rodzinnem przy boku swego Włodka w drukowanej w „Trzeźwości" świetnej powieści p. Zofji Koskowej „Popielisko", to odrazu rzuci się nam w oczy, że cel, do którego dążyła, nie mógł być przez nią osiągnięty, bo w osnowie jej usiłowań tkwił zasadniczy błąd taktyczny, polegający na tem błędnem a pospolitem wyobrażeniu, że można wprowadzać do krwi człowieka przez żołądek alkohol w stanie większego czy mniejszego rozcieńczenia, i jednocześnie wymagać, by mózg tego człowieka nie podlegał swoistemu działaniu alkoholu. Anka z „Popieliska" nie zrozumiała, jak miljony kobiet polskich dziś jeszcze nie rozumieją, że dlatego, by mieć zapewnione szczęście rodzinne, trzeba być zupełną panią uczuć wybranego przez siebie człowieka, że nie można dopuścić, by w mózgu jej ukochanego powstała walka pomiędzy uczuciem rodzinnem, a pociągiem do tak zdradliwej trucizny, jaką jest alkohol. Trzeba było wprzód, nim zdecydowała się na związek dozgonny z owym nieszczęśliwym Włodkiem, stworzyć takie warunki, by alkohol nie miał dostępu do mózgu jej wybranego: trzeba było stanąć na suchym gruncie abstynencji i wymagać od swego męża, by na tym gruncie stał mocno.

Są to rzeczy zupełnie jasne i łatwe do zrozumienia, jeżeli zaś są jeszcze w Polsce nawet profesorowie Szkół Akademickich, którzy tych rzeczy prostych zrozumieć nie mogą, to trudno się dziwić, że przeciętna kobieta ze sfery nawet oświeconej, pominąwszy te 6 miljonów analfabetów, których naliczył w Polsce Kierownik Polskiej Macierzy Szkolnej, tych rzeczy, tak łatwych do zrozumienia, zrozumieć nie potrafi.

A jednak czas już wielki przestać uganiać się za ściganą jeszcze od czasów Kochanowskiego chimerą umiarkowanego spożycia alkoho-

*) Nie mów, żem pijany, gdy na własnych nogach wróciłem do domu; ot, jeżeli człowiek leży i nie oddycha, wrona dziobie go w oko, a on nie słyszy — to właśnie nazywa się, że człowiek jest pijany istotnie.

lu. Wszak naród nasz ma poza sobą tak bogate w sprawach alkoholizmu doświadczenie czasów saskich, a bieg życia współczesnego nie szczędzi nam bolesnych lekcyj alkohologji. Weźmy dla przykładu tragiczną śmierć lotnika ś. p. Żwirki i ś. p. inżyniera Wigury: po libacji na cześć ich zagranicznego zwycięstwa w Warszawie, nastąpiła niemniej serdeczna libacja w Wilnie; słyszałem, że inżynier Wigura zawahał się wsiadać do samolotu, który miał go zawieść do Pragi, i miał słuszność, jak się wkrótce okazało. A jednak ta bolesna lekcja, gromkim głosem wołająca o abstynencję w lotnictwie, „poszła w las", bo „lampka wina" znów figurowała, jak doniosły gazety, przy traktamencie zwycięzców w zawodach lotniczych bieżącego roku. I nie trudno jest przewidzieć, że kpt. Bajan, jeżeli zechce coraz częściej repetować ową „lampkę wina", nie będzie już zwycięzcą przyszłych zawodów lotniczych, jakie nas czekają w 1936 roku.

A nagła śmierć ś. p. prof. Adama Karwowskiego, przewodniczącego komitetu organizacyjnego Zjazdu Lekarzy i Przyrodników, jaki się odbył w Poznaniu we wrześniu 1933 roku, gdy po bankiecie u p. Prezydenta na zamku Wilhelma II, gdzie zapewne figurowała nie jedna „lampka wina", a po niej „„taniec nietrzeźwości" w pierwszorzędnej restauracji, czyż nie była dość tragiczną ofiarą błagalną, skierowaną pod adresem świata lekarskiego, wołającą o abstynencję lekarzy i przyrodników w życiu prywatnem i publicznem?

Artykuł polemiczny zamieszczony w n-rze 9-10 „Trzeźwości" (rok 1934) pióra p. Jana Szymańskiego: „Jak walczyć z alkoholizmem? Abstynencja czy umiarkowanie?" dowodzi, że zajmujące wysokie stanowiska w świecie lekarskim jednostki wyobrażają sobie, że trzeźwość zupełna narodu może być osiągnięta w ten jedynie sposób, gdy rozpite masy narodu „przejdą poprzez wstrzemięźliwość, powoli wyzbywając się zakorzenionych nałogów".

Otóż, jako lekarz, stale zamieszkujący na prowincji i od 27 roku swego życia (a mam już poza sobą skończone 63 wiosny), z dołu obserwujący życie mas narodu na przestrzeni od Zarąb Kościelnych w ziemi Łomżyńskiej poprzez Wołokołamsk (gub. Moskiewska), Sioło Kargapolskie (gub. Permska), m. Siedlce, Supraśl (koło Białegostoku), m. Błędów (powiat Grójecki), kopalnie Maksymówka, Kadjewka i Nowo-Jekaterinka (gub. Jekaterynosławska) do miasta Drohiczyna Poleskiego, gdzie tkwię już lat 12 z górą, nigdzie nie spotykałem rozpitych mas ludu, spotykałem natomiast wszędzie pijackie obyczaje sfer t. zw. inteligentnych, mniej czy więcej umiarkowanie pijących i dających zły przykład prywatnego i publicznego życia sferom mniej oświeconym, a wzorującym się na sferach więcej oświeconych. Bierzmy rzeczy ściśle. To umiarkowanie mas narodu, przez które chce prowadzić naród p. dr. Kacprzak, redaktor „Zdrowia" — już jest, powiem nawet śmiało, że ono już istniało, nim ujrzał światło dzienne dzisiejszy Szanowny Redaktor „Zdrowia", powiem jeszcze więcej, że masy narodu nawet tu na Kresach, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, pędzą abstynencki tryb życia nie z przekonania wprawdzie, ale z musu, bo skoro nie stać ich nieraz na sól do kartofli i dla zdobycia jej posiłkuje się wypożyczaniem u sąsiada wody odlanej z ugotowanych w solonej wodzie ziemniaków, to nie może być mowy o wódce, której pędzenie domowe jest wzbro-

nione i słusznie surowo karane przez prawo, a o kupnie wódki do spożycia codziennego nie może być mowy. Pijaństwo mas ludowych tak u nas w Polsce, jak też i w Rosji podczas mego pobytu, ma i miało charakter okolicznościowy, jako — zdaniem przeciętnego obywatela — niezbędne akcesorjum obchodu tej czy innej uroczystości, która niejednokrotnie przy sprzyjających okolicznościach przechodziła i przechodzi dziś jeszcze w prawdziwą orgję pijacką. Na tej to grzybni obyczajowego pijaństwa wyrastają grzyby pijaństwa nałogowego. Więc czyż mamy żądać rozprzestrzeniania się jeszcze większego tej grzybni, by później w zakładach dla leczenia nałogowych alkoholików mozolnie odbudowywać zrujnowaną jaźń nałogowca, lub oczekiwać cudownego nawrócenia liczniejszych jeszcze, niż mamy to dziś, grzeszników?

Dla zapanowania w Polsce trzeźwości trzeba zniszczyć grzybnię umiarkowanego spożycia alkoholu przez sfery oświecone. Niech w Polsce zapanuje takie przekonanie, że tylko jednostki aspołeczne, całkowicie nieświadome istoty zagadnienia alkoholizmu i jego zwalczania, mogą być mniej czy więcej umiarkowanymi spożywcami alkoholu, a żadną miarą ludzie zajmujący odpowiedzialne stanowiska, których racją istnienia jest przedewszystkiem być dobrym przykładem dla tych, którzy są przez nich rządzeni i kierowani.

Tego jednego tylko Polsce trzeba i sprawa nasza będzie wygrana. A stanie się to dopiero wtedy, gdy przedewszystkiem wszyscy profesorowie wszystkich szkół higjeny nareszcie zrozumieją, że rycerz, który wjechał z koniem w błoto poleskie, nie może stosować błędnej taktyki— ciągnięcia się za własne uszy do góry w nadziei wyciągnięcia i siebie i konia z błota: w tak niemiłej sytuacji trzeba poszukać przedewszystkiem suchego gruntu, a tym suchym gruntem jest idea abstynencji.

Dr. Aleksander Kuropatwiński.

19.XI. 1934 r. Drohiczyn Poleski.

O PRZESZŁOŚCI, I ZE SPOSTRZEŻEŃ NAD ALKOHOLIZMEM, ORAZ CO NAM, POLAKOM, DA TRZEŹWOŚĆ.

Gdy się tak okiem badacza przyglądam naszemu polskiemu życiu, gdy z opowiadań starców, których znałem za czasów mego chłopięctwa, staram się odtworzyć obraz dziejów dawnych i porównać je z treścią obecnego życia, w wielu wypadkach odnajduję zastraszające podobieństwa między tem odległem wczoraj, a dniem dzisiejszym.

Przypominam sobie moje lata młodzieńcze, kiedy to zdawało się, że człowiek ma niezniszczalny zasób sił żywotnych, energji, zapału, kiedy najcięższa praca, trud i znój, przepracowane nie dni, ale doby, nieprzespane noce, — nie wywoływały nawet zmęczenia, kiedy to w ciężkiej służbie wojskowej po 14-to godzinnym dniu usilnej pracy z 60 rekrutami, z których w ciągu 5-ciu miesięcy trzeba było zrobić dzielnych żołnierzy, siadałem w uśpionych już koszarach przy skromnej lampce, ażeby nieraz do godziny 2-ej lub 3-ej w nocy czytać rosyjskich wielkich pisarzy (o polskie książki było niezmiernie trudno). A kiedy widziałem, że moi rówieśnicy, koledzy i młodzież, którąśmy uczyli, gdy tylko doczekali wieczoru, gdy tylko skończył się przegląd wieczorny, zaraz le-

cieli do łóżek, kładli się i natychmiast zasypiali jak zabici, — już wówczas zastanawiałem się, dlaczego to między nami są takie różnice wytrzymałości i doszedłem, że moja wytrzymałość pochodzi stąd, że zawsze byłem trzeźwy, że wódki prawie że nie piłem, a ci ludzie, których uczyłem, mieli ogromną skłonność do pijaństwa; byle okazja, byle sposobność była wyzyskana przez nich, aby się zapoznać z butelką wódki i upić się porządnie. Naturalnie, po takiem upiciu się każdy taki nieszczęśliwiec przez trzy doby chodził jak błędny, jak struty — i rzeczywiście był struty — i ani się uczyć, ani pracować porządnie nie mógł. Dawne to już czasy, nauki alkohologji zapewne jeszcze nie było, ze szkodliwości wyskoku nie zdawano sobie sprawy, przeciwnie, nawet oficerowie mówili nam, żołnierzom: „pić wódkę można, nawet gdy żołnierze mają ciężką służbę to trzeba, tylko upijać się nie można, bo na tem służba może ucierpieć, a żołnierz za pijaństwo podlega surowej karze“. Tak nas uczono w koszarach rosyjskich przeszło pięćdziesiąt lat temu! A przy zetknięciu się z ludnością cywilną rosyjskich wsi i miast, ku czemu miałem sposobność w czasie t. zw. „ruchomych ćwiczeń“, przejeżdżając setki wiorst w guberniach: Moskiewskiej, Włodzimierskiej, Jarosławskiej i Kostromskiej, w czasie „dniówek“, noclegów oraz niedziel i świąt, spędzanych w miasteczkach i wsiach, napatrzyłem się, jak tam ludzie przepędzali czas przy pracy i po pracy, jak jedli, jak mieszkali, jak — niestety — bez umiarkowania pili. I nie tylko lud prosty, ale i ci t. zw. przewodnicy ludu: duchowieństwo, nauczycielstwo, urzędnicy. Jeden taki obraz utkwił mi specjalnie mocno w pamięci. Było to — o ile mnie pamięć nie myli — w roku 1884. Stanęliśmy na „dniówkę“ nad Wołgą o 9 wiorst od Jarosławia. Na drugi dzień wypadło w tem „siele“ t. zw. „sielskie święto“. Rano, tak o godzinie może 8-ej, z cerkwi wyszła procesja, wyniesiono chorągwie, obrazy, na czele procesji szedł duchowny w szatach liturgicznych, w bogatej „rjasie“ z krzyżem w ręku, z pobożną pieśnią, koło niego szli ludzie ze świeczkami zapalonemi w rękach, nieśli święconą wodę... Duchowny ów, którego widziałem z bliska, wyglądał bardzo poważnie: wysoki, postawny, lat około 60-ciu, z piękną siwą brodą i z takiemiż włosami, a obok niego djakon i psałomszczyk (śpiewak kościelny. Urząd stały i płatny), także w ubraniach kościelnych; wyglądało to pięknie i uroczyście. Po południu, może około godziny 3-ej, owa procesja powracała do cerkwi — niestety — w jakimż stanie! ów poważny duchowny ledwie nogami poruszał, prowadzony pod rękę przez dwóch mężczyzn; był pijaniuteńki, ślina pijacka ciekła mu po brodzie, głowa spadała na piersi. Doprawdy, smutny to był widok! Na kwaterze, gdzie nocowałem z kilku innymi żołnierzami, zapytałem moich gospodarzy, którzy wyjątkowo nie byli pijani, co się z tym ich proboszczem stało? Odpowiedzieli mi, że to już taki obyczaj. Gospodarze zapraszają popa do swoich domów i częstują. Otóż tego poczęstunku ów duchowny nadużył i upił się, djakon i psałomszczyk upili się jeszcze więcej i zostali na siele. „A przy tem wszystkiem pop nasz to człowiek porządny — mówili moi gospodarze — tylko że nie chciał zasmucać swoich parafjan odmową poczęstunku i to mu zaszkodziło. Ale to znowu nic tak złego“. Taką opinję miał lud rosyjski o pijaństwie swoich duchownych nawet przy pełnieniu przez nich obrządków religijnych. „To nic znowu tak złego“, powiedział rosyjski chłop ze wsi nad-

wołżańskiej, tak usprawiedliwiał swojego pasterza! Ten widok, to zdarzenie i ten osąd — wszystko to utkwiło mi w pamięci na długo. Oto już przeszło 50 lat upłynęło od tego wydarzenia, zestarzałem się, osiwiałem, a wciąż stoi przedemną obraz owego pijanego popa w szatach liturgicznych i dźwięczą w mojej pamięci słowa chłopa z nad Wołgi, że upić się nawet duchowny może przy pełnieniu obrządku religijnego.

Ale zmieniły się czasy. Alkohol i alkoholizm okazały się klęskami społecznemi, a jako takie spowodowały nie tylko moralne, ale i naukowe rozejrzenie się w tem zagadnieniu, i o ile dawniej moraliści mówili: „nie pij człowieku wiele, byś się nie upił", to dziś naukowiec, uzbrojony w wiedzę, mówi: „nie pij zupełnie alkoholu, bo alkohol to trucizna, którą się otrujesz, a za to twoje otrucie cierpieć będą twoje dzieci, wnuki, a może nawet i prawnuki". Nauka okazała się daleko surowszą od moralistów świeckich i duchownych. Moraliści świeccy mówili: „nie pij, bo to nieprzyzwoicie, nieobyczajnie, niehonorowo", moraliści duchowni mówili: „nie pij, bo to grzech, bo to obraza boska", ale zaraz dodawali, że to nie jest żadna zbrodnia, że przecież Pan Bóg łaskaw, wybaczy ludzkiej słabości i ułomności. Nauka jednak mówi zupełnie inaczej, mówi twardo, mówi groźnie, mówi stanowczo: nie pij, bo za twoje picie, chociażbyś nie był nałogowcem, odpowie twoje potomstwo. Jeżeli w stanie już nie upicia, ale jeśli tylko w twoim organiźmie był alkohol, gdy ojcem zostajesz, już odpowiada twoje potomstwo i odpowiada straszliwie. Twoja zatruta alkoholem krew zatruwa organizm twojego dziecka i czyni je dziedzicznie obarczonem, chorem psychicznie i nieszczęśliwem. A tej winy nie naprawi ci żaden cud, nie rozgrzeszy cię z niej żaden duchowny, nie przebłaga żadna pokuta, nie jesteś poprostu w stanie — człowieku — przebłagać obrażonej przyrody!

Jeśli idzie o sprawę obarczenia dziedzicznego, to mam też dużo, bardzo dużo doświadczeń, a te moje doświadczenia mam ze wsi, mam z obserwacji życia ludu — nie rosyjskiego, ale tego ludu polskiego, dla którego budowano gorzelnie i karczmy, który przymuszano przydziałem gorzałki z pańskiej gorzelni do ciągłego picia, do codziennego niemal upijania się! I to nie tylko z pańskiej, ale z parafjalnej, biskupiej, klasztornej gorzelni, bo trucizna alkoholowa trując ludzi-chłopów dawała jednocześnie dochód panu i proboszczowi.

„Więc kto moich groszy złodziej,
czy żyd jucha, czy dobrodziej?"

mówi zapalczywy Czepiec w „Weselu" Wyspiańskiego. Tak to było i było nie tak dawno. Jeszcze nie przeminęły trzy pokolenia, a ja, znając i pamiętając jeszcze pradziadków obecnego pokolenia młodych, tych, co dopiero w życie wchodzą, widzę niestety, że to jest pokolenie ludzi zatrutych jeszcze przed urodzeniem. Tomybym mógł napisać, gdybym chciał opisać te nieszczęśliwe ofiary z ludu, bowiem alkoholizm dziedziczny najbardziej mści się na ludzie. Wiem, że pili i szlachcice-ziemianie, pili nawet ogromnie, ale mieli co jeść i nie pili gorzałki, tylko drogie wina, a ich kobiety piły bardzo mało, a bardzo często nie piły trunków wcale, gdy kobiety wiejskie i kobiety z drobnomieszczaństwa,

żony chłopów i robotników, piły i to często piły nałogowo! Sam znałem wśród nich nałogowe pijaczki. To też potomstwo ludu wsi i miast dziedzicznie i obustronnie zatrute przez ojca i matkę, niesie przez życie już trzeciego pokolenia skutki nieświadomej przewiny swoich przodków. Tak jest! Tomy mógłbym pisać, jeżelibym chciał opisywać znane mi tragiczne przypadki następstwa dziedzicznego obarczenia dzieci i wnuków alkoholem zatrutych.

W jednym z poprzednich artykułów moich (Nr. 7 - 9 „Trzeźwości“ r. 1933) pisałem o upadku nawet wielkich fortun szlachty i „panów“ pod wpływem utracjuszostwa właścicieli, a to przez dziedziczne obarczenie alkoholizmem potomstwa.

A co nam, Polakom, da trzeźwość? Wiele! Przedewszystkiem zdrowie fizyczne daleko lepsze, a moralne to już zupełnie się odrodzi, oczyści się nareszcie zatruta krew może po pradziadach, wyrośnie nowy typ człowieka. Nowy człowiek z nowymi obyczajami i nową myślą społeczną! Mało się zwraca uwagi na to, że pijący alkohol, ci zwłaszcza, co to wahają się między „normalnem piciem“ a nałogiem, a są już niestety bliżej nałogu, są przeważnie samolubami i egoistami. Widać, że resztki samozachowawczego instynktu w poczuciu zguby bronią się egoizmem w stanie trzeźwości, aby z tem większym rozmachem brnąć w przepaść i zatracenie pod wpływem zamroczenia alkoholowego. Trzeźwość wybawi nas od tego chorobliwego samolubstwa. Człowiek trzeźwy jest pewny siebie, wie on, że zawsze panuje nad życiem, że nie płynie bez steru, ani nie jedzie bez dyszla, że żyje w społeczeństwie i ma obowiązek twórczego współuczestniczenia w życiu zbiorowem. Człowiek zatruty alkoholem jest niepewny, chwiejny, nigdy — gdy jest trzeźwy — nie może się na nic zdecydować i dopiero gdy — jak to mówią — jest „pod gazem“, to udaje zucha. Niestety, są to bezwolne, chorobliwe objawy, A pod względem zdrowia fizycznego co nam da trzeźwość? Szanowni Czytelnicy! Gdy bywamy na naszych zjazdach i zebraniach, to z zadowoleniem widzimy czerstwych, zdrowych, wesołych, i nawet dość żwawych ludzi sędziwych, a nawet starców. Nieraz taki starzec żwawszy jest od młodego, przedstawia obraz zdrowia, ma siłę do pracy fizycznej, jeżeli jest tą pracą zatrudniony, ma zdolność twórczą, jeżeli pracuje umysłowo, ma do późnego wieku dobrą pamięć i jasny umysł. A czy można to samo powiedzieć o pijących? Nie można, nie mówiąc już o pijakach. Ale nawet ci nie nałogowo pijący, ci umiarkowani, nigdy nie mogą być zrównani z trzeźwymi. A cóż mówić o dzieciach i wnukach rodziców pijaków. Wieś X w powiecie X położona jest koło miasteczka, co miało niezbyt dawno złą sławę; było tam wielu pijaków i złodziei, a miasto to było często odwiedzane przez ludność okolicznych wiosek. Gdy z ustąpieniem Rosjan w tych wioskach pozakładano szkółki, to nauczyciele byli zdumieni zanikiem zdolności i tępotą, oraz niezmiernie słabą pamięcią tych dzieci, których rodzice — ojcowie i matki — uczęszczali do owego miasteczka i tam nadużywali alkoholu. Mówili mi o tem ci nauczyciele.

A teraz jeszcze jedno: kraj nasz, Polska, przeżywa ciężki kryzys ekonomiczny i kto wie, czy nie jeszcze cięższy moralny. Wszystko się wali, widzimy tyle załamań moralnych, tylu ludzi młodych, zdolnych i utalentowanych leci w przepaść hańby i upadku, lakierowane stołecz-

ne karczmy pełne są przez całe noce, odbywają się tam targi ludzkich sumień, czci niewieściej i męskiego honoru, zapełnione są, zapchane po brzegi kryminały, domy poprawcze, gdzie „ludzie upadli poprawiani być mają“. Doprawdy, czy zamiast radykalnych, chirurgicznych jakoby zabiegów, nie lepiej byłoby zacząć od higjeny moralnej, czy zamiast karać, nie byłoby lepiej wychowywać nowych, twardych, odpowiedzialnych, pewnych i mających poczucie honoru ludzi, ludzi zdrowych moralnie, a nie pozbawionych woli przez nałogi? Jakiś duch zatracenia, jakaś morowa zaraza szerzy się w kraju! Charaktery ludzkie, to, co miało być kwiatem życia, pohańbia się i plugawi!

Ani stan, ani urząd, ani godność, ani stanowisko — nic nie chroni, wszystko się rozpuszcza w spirytusie i tylko paskudny odór czuć wszędzie!

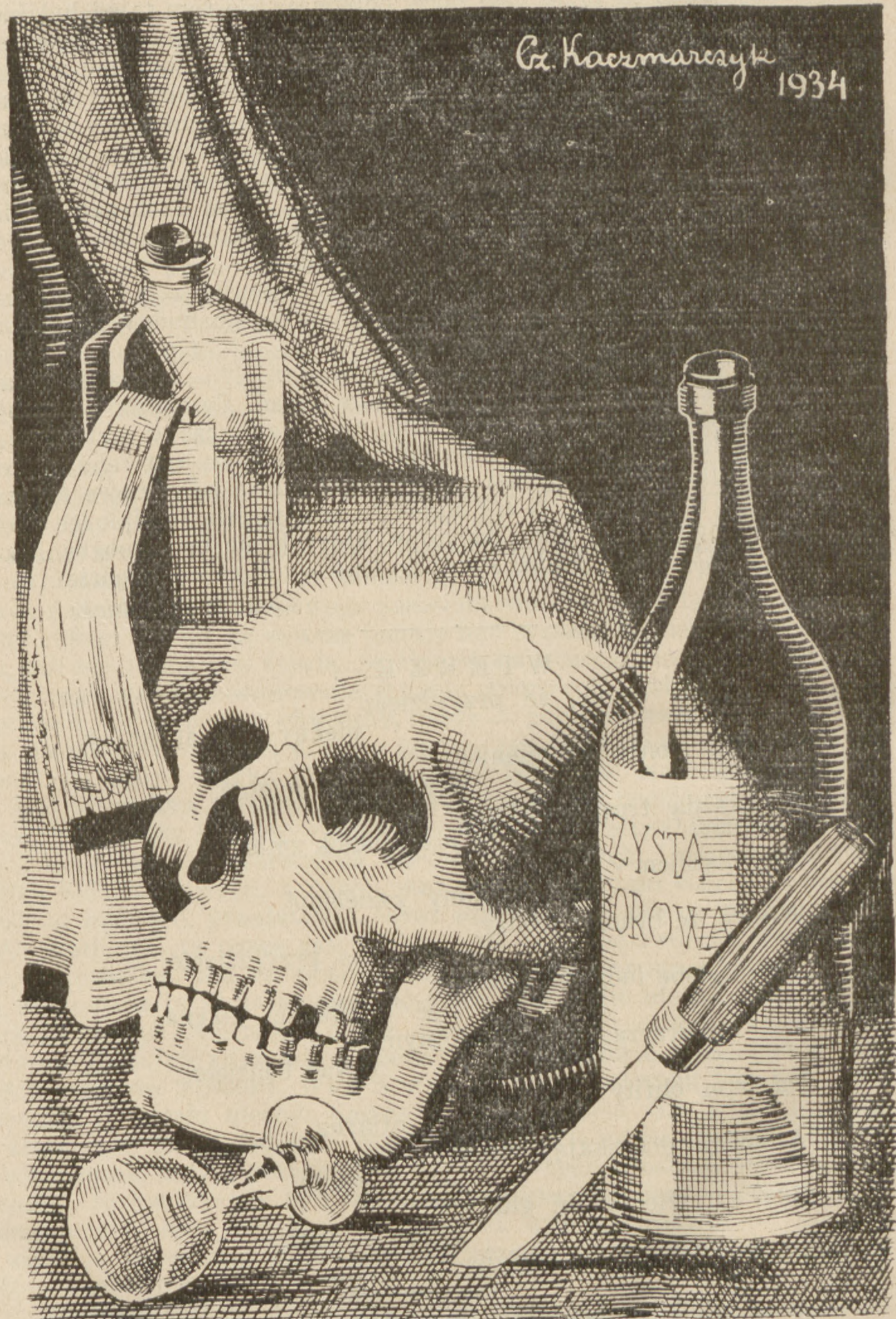
„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!“ — wołaliśmy tak niedawno jeszcze i spazm bólu ściskał nam krtań. Pamiętam te czasy. A dziś? Chorzy jesteśmy na zanik woli, mamy zniszczony system nerwowy, przeżyliśmy obłędną rzeź narodów, dusza nasza potrzebuje ukojenia i spokoju. Życie przynosi nam codzień nowe bóle, nowe troski. Nawet dzielni się uginają. A cóż słabi? Ci leżą w prochu. Jak ich podnieść, jak ratować? Czy przez karczmy, których ma być nieograniczona liczba? Nie, postokroć nie! Świat do trzeźwych należeć będzie!

Tomasz Nocznicki.

WIERZĘ...

Wierzę w ciebie, że przyjdziesz
piękny dniu spokojny,
By się słońca promieniem
wokół rozpłomienić,
By każdą troskę - chmurę
w jasny obłok zmienić,
Aby listkiem - nadzieją
wydmy zazielenić.
Wierzę, że bracia drodzy,
co po nas przyjdziecie,
By w glebę ludzkiej duszy
siać trzeźwości ziarna,
Jeśli w oracza trudzie znojnym
trwać będziecie,
Da plon obfity praca
mozolna, ofiarna.
A żniwa doczekają kiedyś
dzieci wasze,
Gdy sprawiedliwość głośne
wypowie orędzie,
Kiedy uśmiech na nędzne
zawita poddasze,
A w wielkiem sercu ludzkiem
sam Bóg mieszkać będzie.

Zofja Koskowa.



Nature morte.

Czesław Kaczmarczyk.

Z DZIEJÓW RUCHU ABSTYNENCKIEGO W KRAJACH ANGLO - SASKICH.

Ruch abstynencki, jako zorganizowana akcja społeczna i polityczna, zapoczątkowany został w krajach anglosaskich w w. XIX-ym.

Aczkolwiek Irlandja do dziś dnia przysłowiowo słynie ze swej niewstrzemięźliwości, to jednak właśnie tu powstało pierwsze stowarzyszenie abstynenckie, a mianowicie w miejscowościach Skibbereen (1818) i w Ulster (1829).

Ulsterskie stowarzyszenie wiodło początkowo dość mdły żywot, póki ksiądz Mateusz nie ożywił działalności stowarzyszenia: ogłosił on mianowicie w Irlandji pochód krzyżowy przeciw pijaństwu, który trwał od r. 1834 do r. 1843.

Niezwykła wymowa i zdolność przekonywania mas sprawiały, że w czasie przemówień księdza gromadziły się tłumy narodu, przyczem liczne rzesze alkoholików nawracały się na drogę abstynencji. Dzięki niezmordowanej pracy ojca Mateusza roczne spożycie napojów wyskokowych w Irlandji zmniejszyło się już w ciągu pierwszych 3-ch lat o połowę, t. zn. z 11 miljon. galonów spadło do 5 miljonów galonów. Działalność księdza Mateusza na terenie Anglji osiągnęła już mniejsze wyniki, natomiast działalność jego w Ameryce (1843) zyskała sobie duże uznanie wśród ówczesnego społeczeństwa amerykańskiego.

W połowie wieku XIX-go ruch abstynencki w Wielkiej Brytanji wzrósł znacznie na siłach, czego pewną ilustracją jest fakt, że gdy królowa Wiktorja wraz z członkami domu panującego zwiedzała słynny browar w Lochnagar w pobliżu Balmoral Castle (1848), przyczem pisma doniosły, że monarchini raczyła spożyć ofiarowaną jej szklankę piwa, to wywołało to ogromne rozgoryczenie w licznych ugrupowaniach abstynenckich społeczeństwa angielskiego, oraz zdziwienie wśród umiarkowanie pijących wobec królewskiego patronowania szkockiemu napojowi narodowemu.

Ten stan rzeczy zapewne dotarł do wiadomości sfer dworskich, skoro w pismach ogłoszono urzędowe sprostowanie w sprawie królewskiej wizytacji browaru, donoszące, że Jej Królewska Mość nie spożyła ofiarowanego jej napoju, tylko zwilżyła nim usta, by zadość uczynić etykiecie dworskiej, oraz na domiar tego zwróciła uwagę księciu małżonkowi w słowach: „Czy wiesz co czynisz?“, widząc, że małżonek sięgnął po drugi kufel piwa.

Przyszły król Edward VII był również obecny w czasie wizytacji browaru i, jak głosił komunikat urzędowy, wylał odrobinę napoju ofiarowanego mu, pytając królowej — „Co to jest, Mamo?“ (wiemy, że w późniejszych latach zdradzał on pewne upodobanie do cyganerji).

Tak więc komunikat oficjalny oświetlił wizytację królewską browaru, nieco odmiennie niż przesadni reporterzy dzienników, dzięki czemu królowa Wiktorja odzyskała niebawem swój prestige nieposzlakowanego wzoru cnót rodzinnych, godnych naśladowania przez jej poddanych.

Jedyną bronią w walce z alkoholizmem wspomnianych towarzystw była broń moralnej perswazji, przekonywania, nawoływania do uczuć ludzkich, społecznych i rodzinnych ogółu.

W roku 1853 powstało w Brytanji Wszechbrytyjskie Stowarzyszenie (British Kingdom Alliance), którego celem było „wprowadzenie natychmiastowego prawodawstwa, znoszącego całkowicie handel napojami wyskokowymi dla celów spożywczych".

Pierwsze znane w dziejach stowarzyszenie abstynenckie zostało założone na ziemi amerykańskiej, mianowicie w stanie nowojorskim (Saratoga, 1808).

W r. 1813 powstało stowarzyszenie do walki z alkoholizmem w stanie Massachusets, w roku zaś 1826 powstała już dość silna organizacja pod nazwą „Amerykańskie Stowarzyszenie popierania wstrzemięźliwości", które zdołało w ciągu 7 lat założyć 6000 kół lokalnych i zdobyć sobie z górą miljon członków.

W połowie wieku XIX-go powstał t. zw. waszyngtoński ruch abstynencki z siedzibą w Baltimore (stan Maryland), przyczem był on prowadzony przez nawróconych alkoholików, nie zdołał jednak pozostawić po sobie jakichś trwalszych wyników.

W Kanadzie ruch abstynencki począł się rozwijać jeszcze na długo przed zjednoczeniem prowincyj kanadyjskich w jedno Dominjum.

Pierwsze dwa stowarzyszenia abstynenckie powstały w prowincji Nova Scotia (1829 w Beaver River i w West-River). Później powstały podobne towarzystwa w prowincji Ontario i Quebec. Około r. 1843 istniało już 120 stowarzyszeń z 45.000 członków w prowincji Quebec, w Ontario zaś 386 stowarzyszeń z liczbą członków 60.000. Głównymi pionierami ruchu abstynenckiego w Kanadzie byli wówczas metodyści.

W r. 1848 pastor Chiniquy podjął gwałtowny pochód krzyżowy przeciwko pijaństwu panoszącemu się wśród ludności prowincji Quebec. Opublikował on „Podręcznik Stowarzyszenia Abstynentów", obejmujący 200 stron druku w języku francuskim i zorganizował setki meetingów abstynenckich, zdobywając 200 tysięcy członków do swego stowarzyszenia. Bardzo energiczna krucjata przeciw-alkoholowa powstała w tym samym czasie również w prowincji Nova-Scotia, gdzie zorganizowano 150 lokalnych stowarzyszeń trzeźwości.

Cechą charakterystyczną tych wczesnych ruchów abstynenckich na gruncie amerykańskim tak jak i w metropolji (Brytanja), było to, że jedynym jego orężem w walce z alkoholizmem była perswazja moralna, nawracanie alkoholików bez uciekania się do środków prawodawczych.

Pierwszy ruch abstynencki, zdążający świadomie do wyzyskania atutów prawodawczych w walce z alkoholizmem w drodze ustawodawstwa prohibicyjnego, powstał w stanie Maine pod kierownictwem generała Jamesa Appleton'a, oraz jego najenergiczniejszego współpracownika, generała z czasów wojny cywilnej, Neal Dow'a, generalissimusa całego ruchu prohibicyjnego w Północnej Ameryce.

Pod wpływem ich działalności w stanie Maine wprowadzono ustawę prohibicyjną, która została odwołana po 10-ciu latach istnienia, jednak w r. 1858 została wprowadzona powtórnie i przetrwała wszystkie zmienne koleje losu zaciekłej walki społeczeństwa amerykańskiego o prohibicję w okresie przedwojennym i powojennym.

Zdaniem Neala Dow'a, stan Maine po wprowadzeniu prohibicji przekształcił się ze stanu najbiedniejszego w Unji amerykańskiej w stan przodujący pod względem dobrobytu ekonomicznego.

W drugiej połowie XIX-go stulecia powstały w Stanach Zjednoczonych następujące stowarzyszenia do walki z alkoholizmem:

W r. 1861 założony został Zakon Dobrych Templarjuszów, w r. 1869 powstało stronnictwo polityczne „Prohibition Party", zdążające do wprowadzenia ustawy prohibicyjnej na terenie Unji, w r. 1874 rozpoczął swą działalność Związek Narodowy zupełnej wstrzemięźliwości („National Totalabstinence League"), oraz słynne stowarzyszenie „Woman's Christian Temperance Union", wreszcie od r. 1893 rozpoczęła się działalność „Antisaloon League".

Pod wpływem energicznej działalności wszystkich organizacyj przeciwalkoholowych, oraz pod wpływem bezprzykładnej wytrwałości stanu Maine, kilkanaście stanów w Unji wprowadziło ustawy prohibicyjne, lecz ustawy te nie były długowieczne, skoro w r. 1907 przy sztandarze prohibicji było zgrupowanych zaledwie 4 stany ze stanem Maine na czele.

Aczkolwiek szereg stanów odwołał stanowe ustawy prohibicyjne po dłuższym lub krótszym okresie ich istnienia, to jednak zjawisko to nie oznaczało zmierzchu prohibicji; oznaczało ono tylko zmianę frontu ruchu prohibicyjnego, gdyż strategja regularna, polegająca na wprowadzeniu do urzędu stanowego swych sprzymierzeńców politycznych, ustąpiła miejsca strategji partyzanckiej, polegającej na zdobywaniu na korzyść „suchych" poszczególnych gmin w drodze plebiscytu przeciwalkoholowego czyli t. z. „local option".

Ten rodzaj strategji, polegający na wytrwałej kreciej pracy sił prohibicyjnych, okazał się bardziej owocny od strategji frontowej, gdyż ze zdobytych wysepek „suchych" poczęły się tworzyć połacie i obszary suche, aż wreszcie rząd stanowy z przekonań nawet najbardziej „mokry", widząc się osaczony zewsząd przez gminy suche, zmuszony był wywiesić biały sztandar kapitulacji przez ogłoszenie wszechstanowej ustawy prohibicyjnej.

W wyniku zwycięskiej akcji plebiscytowej od r. 1910 stan za stanem poczęły wprowadzać ustawy prohibicyjne, w stanach zaś jeszcze mokrych połacie suche poczęły niepomiernie wzrastać.

Począwszy od r. 1864, na skutek ogłoszenia przez rząd kanadyjski t. zw. „Permissive Prohibition Bill", wprowadzającego miejscowe opcje, gminy suche poczęły dość szybko mnożyć się na terenie dominjum kanadyjskiego. Wojna światowa znacznie przyśpieszyła zwycięstwo prohibicji w Ameryce.

W końcu 1918 r. trzydzieści stanów było już suchych, w styczniu zaś 1919 r. Kongres zdołał zdobyć głosy 36 stanów czyli $^3/_4$ głosów, niezbędne dla zatwierdzenia 18-ej poprawki w konstytucji federalnej, wprowadzającej „zakaz wyrobu, sprzedaży, przewozu oraz wywozu napojów wyskokowych na obszarze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej".

Pod względem ustosunkowania się do spożycia alkoholu społeczeństwa anglosaskie, jak i wszystkie inne, dzielą się na trzy grupy: 1) całkowicie niepijących, 2) umiarkowanie pijących i 3) nadużywających napojów wyskokowych.

Główne wysiłki wczesnych ruchów abstynenckich w krajach anglosaskich były skierowane do trzeciej grupy społecznej, nadużywającej alkoholu, przyczem walka z alkoholizmem zwrócona była przeciw spożywaniu napojów zawierających duże ilości alkoholu jak: spirytus, wódka, koniak, rum, oraz szczególniej rozpowszechniony gin, natomiast słabe napoje alkoholowe, jak: piwo, wino, cydr, uważane w owych czasach za nieszkodliwe, nie były objęte akcją przeciwalkoholową.

Najliczniejsza grupa społeczna, mianowicie umiarkowanie pijąca, okazywała względem poczynań reformatorskich abstynentów więcej obojętności, niż zainteresowania, tak długo, póki metodyka walki z alkoholizmem nie sięgnęła po oręż ustawodawczy.

Naturalnym sprzymierzeńcem ruchu abstynenckiego były okresy kryzysu ekonomicznego, jakie nawiedzały od czasu do czasu poszczególne dzielnice Nowego Świata, z drugiej zaś strony najbardziej niesprzyjającemi dla tego ruchu były okresy rozkwitu gospodarczego, jak naprzykład w Zachodniej Kanadzie z powodu napływu imigrantów i złota po wojnie transwalskiej, oraz w zachodnich stanach Unji amerykańskiej po odkryciu bogatych pokładów złota w Klondyke, gdzie wśród tłumnie napływającej ludności rozwinęła się orgjastyczna, powszechna postać pijaństwa.

Zwracanie akcji przeciwalkoholowej bodaj nawet w postaci krucjaty przeciwko odłamowi społeczeństwa, nadużywającemu „mocnych“ napojów wyskokowych, nie było zjawiskiem wywołującem jakiekolwiek większe tarcia w łonie społeczeństwa, skoro ogół umiarkowanie pijący nie był przedmiotem prześladowań ze strony abstynentów.

Z biegiem czasu jednak wśród przywódców ruchu przeciwalkoholowego w Ameryce nastąpiła kardynalna zmiana w poglądach na istotę alkoholizmu. Wśród abstynentów począł szerzyć się pogląd, że napoje wyskokowe, nawet o małej zawartości alkoholu, są trujące nie tylko dla ludzi chorych, lecz i zdrowych, oraz że spożywanie alkoholu godzi w podstawy bytu społecznego i ładu moralnego narodów. Koncepcja ta znalazła najłatwiejszy oddźwięk wśród ludności z pochodzenia purytańskiej, znanej w Ameryce ze swej nietolerancyjności, bezwzględności i arbitralności we wszelkich poczynaniach społecznych, oraz w życiu obyczajowem.

W umysłach przywódców abstynenckich poczęła rodzić się teorja, że wszelkie środki w walce z alkoholizmem są tylko zwodniczymi, nieskutecznymi półśrodkami, prócz ustawodawczego zakazu wyrobu, sprzedaży i spożycia napojów alkoholowych (prohibicja).

Argumenty ogółu umiarkowanie pijącego, głoszące, że prohibicja ogranicza wolność obywatelską ludności, poczęły być zbijane przez zwolenników prohibicji twierdzeniem, że nie istnieje żadna racja, ani prawna ani moralna, któraby zezwalała obywatelowi na czyn szkodliwy dla niego i ogółu.

Drugi argument, głoszący, że prohibicja stwarza konflikt prawa z naturalnym popędem człowieka cywilizowanego do używania środków podniecających, oraz, że popęd ten jest wytworem sztucznym, rozwijającym się u osobnika na skutek niewyrobionej siły woli do opanowy-

wania swych nierozumnych zachcianek w wieku dziecięcym i młodzieńczym.

Argumenty opozycjonistów, że wykonanie ustawy prohibicyjnej może napotkać wiele trudności, że ustawa będzie łamana przez wielu obywateli, że obniży przez to poszanowanie prawa publicznego, że spowoduje olbrzymie bezrobocie wśród robotników zatrudnionych w wyrobie i sprzedaży napojów alkoholowych, że spowoduje ruinę wielu drobnych akcjonarjuszów deponujących swe oszczędności w browarnictwie, gorzelnictwie, przemyśle hutniczym, korkowym i t. p., natrafiały na kontrargumenty zwolenników prohibicji, a mianowicie:

1) kapitał zaabsorbowany w przemyśle alkoholowym i w gałęziach przemysłu z nim pośrednio związanych zostanie korzystnie obrócony na inne pożyteczniejsze gałęzie przemysłu.

2) pieniądze wydane na spożycie alkoholu zostaną obrócone na podniesienie zamożności rodzin pracujących, na podniesienie stopy życia obywateli, na podniesienie poziomu kształcenia dzieci, na podniesienie wytwórczości gospodarczej kraju,

3) ustawodawstwo prohibicyjne ułatwi obywatelom słabowolnym wydostanie się ze szponów najzgubniejszego nałogu pijaństwa i uczyni z nich dobrych obywateli kraju,

4) wprowadzenie prohibicji utoruje drogę społeczeństwu do skuteczniejszego zwalczania pauperyzacji, oraz chorób społecznych (gruźlicy, chorób wenerycznych, nierządu),

5) prohibicja usunie czynniki korupcji w administracji samorządowej, stanowej i federalnej.

Nasuwa się pytanie, czy przytoczone przewidywania zwolenników prohibicji zostały urzeczywistnione po wprowadzeniu powszechnej prohibicji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i jakie jest obecnie ustosunkowanie się do niej społeczeństwa amerykańskiego?

Danie objektywnej odpowiedzi na powyższe pytanie jest rzeczą niezmiernie trudną. Nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo amerykańskie poświęciło sprawie prohibicji ogrom swego czasu oraz mnóstwo papieru i atramentu, że sprawa prohibicji zaprzątnęła umysły społeczeństwa amerykańskiego na czas długi, że wytrąciła ona z równowagi przysłowiową flegmę anglosaską, że uwypukliła ona w sposób karykaturalny pewne mniej znane nam cechy i strony życia amerykańskiego.

Zasługą prohibicji niepodlegającą dyskusji jest, że usunęła ona całkowicie szynki jako ośrodki jawnej demoralizacji w życiu społeczeństwa. Ustosunkowanie się imigrantów angielskich, niemieckich, czeskich i włoskich do ustawodawstwa prohibicyjnego było i jest nietylko nieprzychylne, lecz wrogie, z wyjątkiem tych osobników z pośród nich, którzy są zainteresowani bezpośrednio w przemycaniu, oraz nielegalnym wyrobie i sprzedaży alkoholu.

Nielegalny wyrób i wyszynk alkoholu stał się czynnikiem poniekąd demoralizującym stanowych funkcjonarjuszów bezpieczeństwa publicznego.

Korupcji, szerzącej się wśród policji stanowej, władze administracyjne federalne zaradziły zwiększeniem kadr policji federalnej dla celów przestrzegania ustawy prohibicyjnej. O ile widok wkraczających

granatowych mundurów policji stanowej nie wywiera większego wrażenia na bywalców amerykańskich „speakeasies's", o tyle widok wkraczających do tych zakładów zielonych mundurów policji federalnej wywołuje wśród bywalców konsternację i masowy brzęk szkła kieliszków i naczyń tłuczonych na podłodze, boć „Raidy" policji federalnej na wyszynk kończą się z reguły przewożeniem gości w karetkach policyjnych do komisarjatu policji.

Sfery zainteresowane finansowo w szmuglu, wyszynku i nielegalnym wyrobie alkoholu stoją niewzruszenie przy sztandarze prohibicji i wywierają swój silny wpływ przeciw wszelkim zakusom zniesienia obowiązującej ustawy.

Dalej, prohibicja w Ameryce rozwinęła w niezmiernym stopniu inwencję przemytnictwa w dziedzinie środków obejścia czynników administracyjnych. Przykłady tej wynalazczości dostarczają miasta na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Kanady (np. Detroit). Przewożenie trunków w samochodach mających podwójne dno, przenoszenie alkoholu w kiszkach samochodowych owiniętych pod odzieżą wokół brzucha, przewożenie alkoholu na karawanie w trumnie cynowej wśród inscenizacji konduktu pogrzebowego, szmuglowanie alkoholu w zalutowanych puszkach z napisem „pomidory" i t. p. są częstem zjawiskiem.

Kapitał zaabsorbowany w przemyśle alkoholowym ze względu na sprzyjającą konjunkturę gospodarczą w obrębie wprowadzenia powszechnej prohibicji mógł być z łatwością obrócony na inne gałęzie przemysłu. Walka z klęskami społecznemi, jak: gruźlica, choroby weneryczne, oraz nierząd, w okresie prohibicji była znacznie ułatwiona. Publiczne stręczenie do nierządu oraz defilowanie prostytutek w miejscach publicznych nie istnieje.

Ciężki okres próby obywatelskiej przeżyła młodzież amerykańska obojga płci, dorastająca na przełomie ery przed i prohibicyjnej, szczególniej w większych miastach.

Młodzież tę, wychowywaną od zarania życia w kulcie dla tężyzny fizycznej i pewnej brawury sportowej, traktującą pogardliwie wszelkie przejawy bojaźliwości, niezaradności i trzymania się za fartuszek matczyny, poczęła przyciągać atmosfera towarzysząca spożywaniu zakazanego owocu w zakazanym szynku mniej lub więcej luksusowo urządzonym.

Bezstronność nakazuje podkreślić, że modny „snobizm szynkowy" poczynił pewne szczerby wśród młodzieży należącej do bardzo zamożnych warstw społecznych, a zatem młodzieży rozpróżniaczonej, niewiedzącej co począć ze swym czasem, młodzieży dotkniętej wczesnym przesytem życiowym. Młodzież pracująca zarówno umysłowo jak i fizycznie nie należy do grona stałych bywalców szynków, kojarzy się chętnie w związki sportowe, emocjonuje się niesłychanie wyczynami sportowymi i jest zdecydowanie przekonana o szkodliwości alkoholu dla osobnika i społeczeństwa.

W rozmowach z młodymi lekarzami amerykańskimi, którzy opuścili zaledwie ławę uniwersytecką, uderzyła mnie ich paniczna wprost obawa spożywania najsłabszych postaci napojów alkoholowych, np. wina domowego wyrobu, przyczem odnosiłem wrażenie, że wyobrażają sobie oni zgubne skutki tego napoju słaboalkoholowego w takich rozmia-

rach jak my, europejczycy, wyobrażamy sobie zgubne skutki palenia opjum.

Jeśli młodzi lekarze amerykańscy wynoszą takie poglądy na istotę napojów alkoholowych ze swych „almae mater“, jeśli młodzież akademicka w uniwersytetach stanów Michigan, Ohio, Missouri, Kansas i Minnasota przytłaczającą większością głosowała za trzeźwością, (prof. Wł. Kozłowski), to fakty te przesłaniają całkowicie ciemne strony prohibicji amerykańskiej.

Jeśli przewartościowanie pojęć młodzieży amerykańskiej w odniesieniu do istoty napojów alkoholowych zostało dokonane dzięki prohibicji, to może ona zstąpić do grobu na zasłużony spoczynek.

Za zasługę wychowania nowego pokolenia amerykańskiego niech jej będzie lekką ziemia amerykańska.

Dr. Wiktor Borkowski.

DO RODZICÓW I WYCHOWAWCÓW.

Czy Wy wiecie, że hodowcy zwierząt rasowych, którym chodzi o wychowanie ras drobnych, tak zwanych liliputów, używają w tym celu



Doświadczenie prof. Dr. Weygandta: psy jednego lęgu. 1 i 2 odżywiane normalnie, 3 i 4 dostawały codziennie przez 2 mieś. ½ grama alkoholu na 1 klg. żywej wagi.

alkoholu, jako najskuteczniejszego środka. Całe pokolenia różnych zwierzątek są stale spajane, alkoholizuje się samców i brzemienne samiczki i ich potomstwo, i w ten sposób otrzymuje się wyrodki, drobne, ma-

łe zwierzątka, za które amatorzy płacą wysokie ceny. (Zwierzątka te są zwykle straszliwie złośliwe i bardzo głupie).

Obok podany rysunek wykazuje wpływ alkoholu na szczenięta, z których część była hodowana normalnie i wyrosła na zdrowe, normalne egzemplarze, a część była alkoholizowana i wskutek tego skarłowaciała. To samo dzieje się z ludźmi. Od wielu pokoleń ludzie używają alkoholu, matki brzemienne piją, matki karmiące piją piwo, aby powiększyć ilość pokarmu, dzieciom dają alkohol, aby spokojnie spały, a młodzież pije, aby się zabawić i rozweselić.

W wyniku ostatecznym mamy skarłowacenie fizyczne, a co najgorsze, degenerację moralną. Jeżeli więc Wy tego nie widzieliście, to dowiedźcie się, abyście zrozumieli, że nie wolno pić, nie wolno do picia namawiać, zachęcać, chyba, że chcecie hodować degeneratów, że chcecie, aby wam taki wychowanek rozbił głowę.

Muszę tu przyznać, że — ze swego punktu widzenia — postąpiłby słusznie: wy rozbiliście mu życie, czyż nie miał on prawa za to rozbić wam głowy?

Aleksander Iżycki.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(Helena Boguszewska: „Całe życie Sabiny". Wanda Wasilewska: „Oblicze dnia". Ewa Szelburg-Zarembina: „Krzyże z papieru". Elżbieta Szemplińska: „Narodziny człowieka". Irena Krzywicka: „Sąd idzie").

Są książki, które przy czytaniu wywołują uczucie szczerego zachwytu. Na usta ciśnie się wówczas jedno słowo: talent. Zawiera ono niezgłębioną tajemnicę tej jedynej psychiki, takiej innej, tak niepodobnej do żadnej — ani do tych codziennych, szarych, ani do pokrewnych sobie, obdarzonych również bogactwem twórczego skarbu.

Do takich należy książka Heleny Boguszewskiej: „Całe życie Sabiny" [1]). Czyta się ją w nastroju szczęścia, mimo, że w istocie swej jest tak ogromnie smutną. A szczęście to płynie z radości, że istnieje kobieta-artystka obdarzona tak wielką mocą tworzenia, iż drugi człowiek, zwykły śmiertelnik może przeżywać wzruszenia, będące źródłem bogacenia skali jego doznań. Sam tytuł jest inny niż zazwyczaj spotykany — ma w sobie jakiś dziwny skrót w ujęciu sprawy, o której za chwilę mamy się dowiedzieć. I gdy się to „całe życie Sabiny" pocznie przesuwać przed nami, gdy naszemu wewnętrznemu zasłuchaniu w tok opowieści pocznie się stopniowo uwypuklać jej zasadniczy zrąb, to jednocześnie podziw przemienia się w poczucie jakiejś bliskości, jakiegoś bratania się ze sprawami i przeżyciami, o których mowa. Chwilami ma się wrażenie, że to nie życie Sabiny, a strzępy, urywki naszego własnego istnienia zostały wydobyte na światło dzienne i mówią do nas

---

[1]) Helena Boguszewska: „Całe życie Sabiny". Przeworski. 1934. Warszawa. Str. 243.

swą wielką prawdą psychologiczną. Poprzez codzienne wydarzenia życiowe Sabiny płynie nurt potężnego, podziemnego potoku wieczyście tych samych, a zawsze nowych dla każdej jednostki przeżywań, zagadnień, trosk, tworzących wielką, świętą sprawę, jaką jest każde życie indywidualne. Jaka wspaniała forma budowy i oryginalny pomysł konstrukcji! Ileż zagadnień poruszonych, o których się faktycznie nie mówi, a które pulsują w rytmie wydarzeń zwykłych, zewnętrznych. I to jedno najistotniejsze, najtragiczniejsze: s a m o t n o ś ć każdego człowieka wobec wszystkiego co się dzieje, samotność, będąca dziedziną, gdzie każdy po swojemu przeżywa materjał dostarczony przez życie. Dziwna to książka, o której z trudem się pisze, gdyż chciałoby się jedno przedewszystkiem powiedzieć: niech każdy ją przeczyta, gdyż każdy znajdzie w niej coś wyłącznie dla siebie, coś, co specjalnie „chwyci" za serce. Zwłaszcza kobiety — ale te w istocie swej najwewnętrzniejszej „niepodległe", samodzielne, panujące uświadomionem „ja" nad wszystkiem, co dotychczas trzymało nas w niewoli, w zahukaniu, — znajdą dla siebie rzeczy bliskie, zrozumiałe, jasne i proste, a jednocześnie zasadnicze, konieczne.

Sabina wioząca wózek z malutkim synkiem i w przemyślanym skrócie całego jego przyszłego rozwoju z dzidziusia w ucznia, harcerza, żołnierza, i „pana", rzucająca to jedno krótkie zdanie: „dla oczu Kazimierza też Sabiny nigdy nie będzie. Będzie matka", — ujęła ogromne zagadnienie stosunku dzieci do matki i w fakcie konstatowania tego stosunku, jako wyrazu zachłannego egoizmu dziecięcego podkreśla, że kobieta współczesna chce stać się w oczach swych „pociech" owym zwykłym człowiekiem, któremu one jednak łaskawie raczą przyznawać prawo do samodzielnego życia. Słowo „matka" pragnie nieco poszerzyć, pragnie uwolnić je od całej nadbudowy skrzętnie hodowanego egoizmu, a dodać zespół nowych uczuć, jakiemi może darzyć swe dziecko matka, samodzielny człowiek, mający pełnię osobistego życia.

Sabina odchodząca od swego męża-hulaki, zaniedbującego ją najzupełniej, pragnie zawsze w stosunku do mężczyzn zachować wyniosły cypelek, z którego patrzy na ich wszelakie poczynania z niezatraconą dozą pewnej odrębności. Nie chce postradać w miłości całej siebie — chroni ją przed szaleństwem bezkrytycznego uczucia instynkt samozachowawczy, zrozumienie, ile poniewierki i cierpienia kryje się w oddaniu na „całego" mężczyźnie, który nie stanowi dla niej zawsze synonimu „człowieka". Oto co pisze, nanizując wspomnienia, zasnuwające długim korowodem całą jej istotę: „Wszystkie niezapłacone komorne, zaległe raty, powiększone gruczoły, trzydzieści siedem i trzy pod pachą i trzydzieści siedem i pięć w małej pachwinie przeziębiającego się dziecka, wszystkich stale nieobecnych Janów, wiecznie tkwiących na tajemniczych i nieuchwytnych „konferencjach" i ani jednego *człowieka* na świecie, któregoby można być pewnym, że się nie zmienił od wczoraj, albo, że się nie zmieni do jutra!"

Boguszewska, artystka i psycholog wytrawny, daje obrazek oczekującej Sabiny na powrót Jana tak wyjątkowy, iż nie mogę się oprzeć pokusie przytoczenia go, tembardziej, że będzie to powrót z nocnej restauracji, gdzie alkohol zawsze święci swój tryumf: „A to czekanie odbywało się zawsze jednakowo, niezmiennie: chodząc przez wszystkie

trzy pokoje w amfiladzie, i przedpokój, z postojem w ostatnim pokoju przy żółtej szafie, tej samej, na której znaczyło się niegdyś linijką i ołówkiem wzrost niewiele większy od wzrostu Szarbona, kiedy służył...

Drugi postój przypadał na pierwszy pokój, przy oknie. Z wpatrzeniem się w głęboką, ciemną studnię podwórka, z ciemniejszą jeszcze wnęką bramy. Z wpatrzeniem błagającem o stłumiony znajomy dźwięk dzwonka, a potem o człapanie bamboszy niewidzialnego stróża, z bocznych drzwi, przez całą długość bramy, o pewnej chwili rozświetlonej nagle, jak tunel. Było to niejako czekaniem w czekaniu, jakgdyby państwo w państwie: czy spóźniony lokator wsiąknie w ciemność zagasłej również nagle bramy, to znaczy, że pójdzie „na front", czy też wyłoni się na podwórzu? A wtedy nastąpi jeden moment trudny do rozpoznania: czy zwróci się naprawo, czy nalewo do oficyny, jednem słowem, czy to Jan, czy nie Jan?

Trzeci postój, doprawdy już bez najmniejszej przyczyny i bez najmniejszego sensu: u wejściowych drzwi w przedpokoju. Bo przecież przez ten ułamek sekundy, co trwało przejście w jadalnym do drzwi w przedpokoju, choćby się nawet nie dosłyszało dzwonka, co jest zresztą niemożliwe, ale przypuśćmy, żeby się go nie dosłyszało — to i tak stróż nigdyby nie zdążył przez ten czas otworzyć bramy i nic w sytuacji nie mogło się zmienić, niczyje kroki nie mogły się rozlegać na schodach. Pocóż więc było stać we drzwiach w ciemnym przedpokoju, z czołem opartem o zimną chropawość milczących drzwi? Czy to miał być taki luksus, taki odpoczynek, wstrzymanie czasu, puste miejsce w ciężkiej pracy czekania na Jana?

Tak jednak widocznie musiało być, taki był rytuał tej męki: postać przy szafie, postać przy oknie, postać przy drzwiach, znowu chodzić, chodzić, chodzić...

Właściwie to ta sprawa zaczynała się znacznie wcześniej, przed herbatą. Ale wtedy do programu należało udawanie, że się nie czeka na Jana, tylko tak zwyczajnie robi się różne rzeczy. Naprzykład polewanie kwiatów.

Stało się nad fikusem pogodnie, uspokajająco sztywnym jakgdyby nigdy nic. Nachylało się nad ciepłą kosmatością czerwonych liści begonji, nad wesołą jasną puszystością szparagowca... próbowało się palcem, czy ziemia w doniczce jeszcze nie sucha, czy w sam raz? Powoli, z rozmysłem lało się wodę z niewygodnego imbryka, z którego zawsze musiało się coś wylać na podłogę, żeby nie wiem jak uważać. Patrzało się, jak wsiąka w ziemię, w odrobinę tej „inspektowej", czy „wrzosowej", i kiedy się tak wdychało zbliska jej wilgotny dech, w nieporównanym jedynym zapachu poruszonych listków pelargonji, o zastygłych jak rtęć kroplach wody w ciemniejszych środkowych krążkach, — to myśli zatrzymywały się, jakgdyby świat stawał w miejscu, a serce miękło i odprężało się... ale to tylko na chwilę.

Potem zasiadało się do poprawiania zeszytów. I znowu udawanie, że się wcale nie czeka na Jana, tylko się siedzi przy stole i poprawia zeszyty czerwonym ołówkiem, nie patrząc na zegarek. Na nic to wszystko! O jakiejś chwili z za drzwi kuchni padało nieuchronne pytanie obrażonym głosem Polci: czy ma tak jeszcze czekać na pana, czy już w końcu podawać kolację? To już chyba niech Polcia podaje — wesoło odpo-

wiada Sabina. I popija samotną herbatę, która ma smak piołunu, i pogryza czemś najtrudniejszem w świecie do przełknięcia, i ciągle nadsłuchuje na ożywionych jeszcze schodach, czy nie posłyszy kroków Jana, i wie, że nie posłyszy, wyobraża sobie aż do bólu, że Jan wchodzi i wie, że Jan nie wejdzie. O jakiejś chwili nie można już wytrzymać i odpada reszta udawania. Wszystko staje się jasne. Serce bije — powoli i mocno. O tym czasie na schodach ustaje ruch, przychodzi nieunikniony moment: człapią bambosze, stróż idzie gasić światło. Skończone.

Teraz trzeba się znowuż inaczej zorganizować do innej fazy czekania. Bez ogródek, bez udawania. Rzecz idzie na całego. Już teraz niema mowy o przyjściu Jana „zwyczajnie", chodzi tylko o to, żeby się jaknajmniej męczyć, jak najmożliwiej przeczekać czekanie. I kiedy wreszcie przyjdzie wesoły i po kolacji, niemile zdziwiony, że ona nie śpi i że się niepokoiła — bo właściwie o co? — żeby nawet nie spytać, gdzie był... przecież i tak nie dowie się prawdy. Chyba przypadkiem, bo Jan jest nieporządny i roztargniony, i...".

I nie chodzi tu o „zapijanie" się na śmierć, — nie — właśnie owe „kolacje" w nocnych lokalach, skąd taki „pan" powraca „wesoły", mają straszną niszczycielską moc wciągania w atmosferę bezczynnego używania, zasłaniającego powagę i ważność indywidualnego, samodzielnego życia, splecionego z drugiem więzami, zlanemi łzami słabszej istoty. Jakie nieprzeliczone legjony kobiet na całej kuli ziemskiej czekają tak na powrót swych Janów z mrocznych czeluści życiowych. Alkohol jest niewątpliwie najpoważniejszym sprzymierzeńcem tych „nieobecnych"— jako najbardziej udostępniony i najtańszy daje możność ucieczki od rzeczywistości, która dla tych, czy innych powodów stała się im obmierzłą. A my... czekamy biernie, w męce udręki. Czyż właśnie z tej naszej męki nie wynika surowy i bezwzględny nakaz wychowywania synów w atmosferze abstynenckiego domu, aby w ten sposób umniejszyć cierpień następnemu pokoleniu kobiet, usuwając jeden z czynników marnujących im życie? W wielu, niewątpliwie bardzo wielu wypadkach, (rzecz prosta nie we wszystkich), alkohol początkowo dyskretnie, a potem coraz natarczywiej wyprowadza mężczyznę z domu, dając mu złudne ekwiwalenty wartości, których mu brak, a przedewszystkiem zaciemniając możność orjentowania się w rzeczywistości i utrzymując w stanie beznadziejnego dreptania na miejscu. Mężczyzna wówczas nie czyni nic, by przyzwoicie likwidować swoje współżycie z kobietą, która staje się dlań obcą — i tak ciągnie się wegetacja dwojga ludzi, stwarzając nieraz sytuacje bez wyjścia tam, gdzie może byłoby wyjście nawet zupełnie dobre. Alkohol bowiem uniemożliwia sterowanie życiem, wprowadza bezład, istnienie z dnia na dzień. Miłości nakazać nie można nikomu, ale jestem pewną, że wiele krzywd kobiecych możnaby zmniejszyć, gdyby właśnie alkoholizm nie stępiał poczucia odpowiedzialności i gdyby nie paraliżował woli, tak potrzebnej we wszystkich powikłaniach etycznych. Ciągle mi się zdaje, że samotna Sabina mniej gorzko cierpiałaby, gdyby jej mąż odszedł od niej nie jak bankrut, którego szanować nie może — zabrał jej bowiem nietylko siebie, ale i wiarę w istnienie *człowieka*.

Pozornie nic się nie dzieje w tej powieści — nikt nikogo nie mor-

duje — krew się nie leje — tylko... jedno kobiece serce targa się bezsilne, — jedno kobiece serce męczy się w niemocy przywołania do siebie *człowieka*, bo jego niema, niestety, a jest mężczyzna, który tam gdzieś gubi samego siebie. To mu wolno. Ale dlaczego ona, Sabina, cierpi z tego powodu? A no, bo taką już jest dola młodych dziewcząt, nieprzenikniona w swej zagadce, że ufnie, radośnie, beztrosko zaczynają kochać wielką niewiadomą, w postaci jakiegoś Tomasza, czy Michała. To wszystko zaczyna się dziać „niedostrzegalnie", tak z niczego. Z początku owo kochanie jest jak „sprężyna z radości zrobiona, czy też sama radość zwinięta w sprężynę jak kłąbek. Leżała sobie spokojnie w sercu, na samem pograniczu snów i nic nie szkodziła, a nawet właśnie było dobrze, że się nie wiedziało, w co się rozkręci. Właśnie dobrze było czuć ją w sobie taką zwiniętą, jak dobre, ciepłe, śpiące zwierzę: nie budzić póki śpi... tak dobrze jest czekać dobrego przebudzenia! Jakżeż to się zaczęło, że jakby jeden jej koniec zaczął lekko, leciuteńko w sercu drżeć: prawie niewyczuwalnie, potem coraz wyraźniej! W końcu ukłuł niepokojem. Niewiadomo było, skąd się to wzięło i kiedy, ale wiadomo było, że jest. W końcu na nic się nie zdało udawać, że się tego ukłucia nie czuje, że wszystko jest dobrze... jak niegdyś, — kiedy się udawało, że się nie widzi czerwonego blasku na ścianie.

Bo koniec rozkręconej sprężyny kłuł coraz wyraźniej:

Czy Jan już... czy Jan jeszcze...

O jakimś czasie ukłucie przyjęło bezwstydny kształt zapytania: „Czy Jan wogóle wróci na obiad? Czy dopiero wieczorem? Czy w nocy, jak wczoraj, jak pozawczoraj? Czy znowu będzie czekanie?"

W takie samotne noce drżące wargi kobiece szepczą pytanie: „czy jest taki zastrzyk, któryby uśpił wszystkie ostrza?"

„Oblicze Dnia" [1]) Wandy Wasilewskiej, to książka, której należyte omówienie wybiegałoby poza ramy naszego miesięcznika. Mogę stwierdzić, że Wasilewska ma również talent, duży, bujny talent. Wyrywam tylko pewne momenty, zastrzegając, iż nie dają one ogólnej charakterystyki tego wstrząsającego utworu. Zwracam na tą powieść szczególną uwagę działaczy społecznych, wszystkich ludzi czynu — należy ją przemyśleć i przeżyć. Budzi bowiem poczucie zbiorowej i indywidualnej odpowiedzialności wobec ukazanego „oblicza dnia".

Zatrzymam się specjalnie nad dolą Weronki, Anki i Natalki: wydzielam niejako te trzy kobiety z całego toku powieści. Sądzę, że na długie czasy imiona te będą symbolizować pewne sploty konfliktów, pewne ideje, tak, jak to ma miejsce naprzykład z Joasią i Judymem. Rzucam tą myśl, nie mogąc z powodu braku miejsca jej rozwinąć i przechodzę do tych miejsc, gdzie Weronka wyraźnie cierpi z powodu alkoholizmu obyczajowego: „Wódka i przekąski, albo piwo. Choć się niema ochoty — trzeba pić. Jakże — podarmo przecie nie będzie siedzieć. A to już rzadko się trafi taki, co zapyta, czego się chce. Trzeba się ładnie uśmiechać i lać to zimne piwsko na głodny żołądek. Raz dwa się głowa zawróci choć i od piwa. A potem już wszystko jedno". „Powoli wraca do domu, bo to i śpiąca. Ale o spaniu ani mowy. Dziad z pod pieca znowu się upił, z żoną się bije! Do tego jednego ani

[1]) Wanda Wasilewska. „Oblicze Dnia". Rój. Warszawa, 1934. Str. 313.

rusz nie może Weronka nawyknąć — do wódki. Piwo jeszcze, jeszcze, ale wódka nie chce przez gardło przejść. A tu jakoś lżej, kiedy się pije. Zamroczy człowieka i ani o niczem nie wie, lekko mu na sercu. Ta Regina, jak się upije, to taka wesoła aż dziwno. Podśpiewuje sobie, głupstwa plecie, różności się jej wydają. Zawsze Weronkę namawia: nie bądź głupia, zobaczysz jak ci się świat odmieni.

I widać, że się jej odmienia. Wieczór — a jej się nie chce nigdzie iść. Wolna jestem, wykrzykuje — nikt mnie do niczego nie zmusi. Jak chcę, to idę, jak nie, to nie. Napij się, Weronka, zaraz ci się wszystko rozjaśni.

Weronka nie chce. Wychodzi cicho, zamykając drzwi. Na drugi dzień Regina będzie płakać i jęczeć, jaki to jej psi los. Ściemnieje wszystko w dwa razy. Lepiej już tak — zawsze jednakowo. Nic się przecie nie odmieni, medytuje Weronka, brnąc w błocie poza cegielnię".

Myślę, że ogromnego, natężonego wysiłku pracy wychowawczej trzeba będzie dokonać, by w odrodzonem społeczeństwie, zbudowanem przez młodych, uświadomionych obywateli, nie było całego zespołu czynników, degradujących Weronkę na ulicę. Myślę, że powinniśmy wszyscy wytężyć czujną zapobiegliwość, by młodym nie przekazywać ułomności i wad naszych. A więc przedewszystkiem sami również musimy na gwałt siebie przekształcać, by znikł nasz demoralizujący przykład, będący niezawodnym pedagogiem zarówno w złem, jak i w dobrem.

Ileż głębokiego, szlachetnego liryzmu, obok tragicznego konfliktu z własnem sumieniem, ma w sobie matka Anatola, który ją pyta, czy się nigdy nie buntowała? „Sumiennie przepatruje swoje szare życie. Nie, chyba nie. Ani dzieckiem pod twardą pięścią ojca-pijaka, pod jękliwą skargą wiecznie chorej matki. Ani w sklepie, gdzie ją wzięto na posyłki. Od rana do wieczora na nogach. Szorować podłogę, zamiatać sień, wynosić drewniane skrzynki. Odnosić paczki, myć w kuchni talerze, bawić dziecko, kopać w ogrodzie. Nie, nie buntowała się, płakała po kątach, cicho, żeby kto nie posłyszał. Ani potem, w służbie, kiedy ojciec zabierał na wódkę każdy grosz. Dawała, płacząc cicho, żeby kto nie posłyszał. I potem po śmierci męża, kiedy chwytała się każdej roboty — dozorczyni, posługaczki w szpitalu, szycia, prania. Nie buntowała się — nawet jej to przez myśl nie przeszło. Wypłakała wszystkie łzy w kościele i znów szła do swojej pracy. Poskarżyła się księdzu na spowiedzi, wysłuchała cichych słów o pokorze i cierpliwości, głęboko zapadły jej w serce. Zasługiwała sobie królestwo niebieskie ciężkim trudem wlokących się w nieskończoność dni. Bólem popękanych rąk, zmęczonych oczu, uchodzonych nóg. Panu Bogu ofiarowywała swoje krzywdy, zatrzymaną wypłatę, obcięte zarobki, grubijańskie słowa. Panu Bogu ofiarowywała swoją wdowią dolę. Nie było tu miejsca na bunt w ciężkiej pracy i długiej modlitwie". I tak dalej snuje się doskonała charakterystyka ginącego pokolenia kobiet wczorajszych. Matka Anatola potrafiła na stare lata odgiąć plecy i wchłonąć w zduszone piersi wiew nowego życia, idący z taką mocą z młodzieńczego serca ukochanego syna, z którym sąsiadki nie mogą jakoś dojść do ładu. „W Boga nie wierzy, do spowiedzi nie chodzi, a o matkę dba jak żaden. Bawić się, bawi, ale ani pijany nie wraca do domu, ani za dziewczętami nie goni, cały zarobek matce przynosi, robotnik z niego taki, że do domu po niego

majster przychodzi". Taki to jest ten Anatol, pragnący budować „świat wolnych ludzi".

Może i ów majster nie byłby tak okrutny i niepohamowany w swej żądzy, i nie wyrzuciłby Anki na bruk za to, że nie chciała zostać jego kochanką, gdyby nie... alkohol.

„Anka! do dyżurki, majster woła!

Cierpnie od stóp do głowy. Nie pójdzie, za skarby świata nie pójdzie. Nogi jakby wrosły w podłogę.

Ale znów drugi raz: Anka, prędzej!

Idzie powoli cała drętwiejąc. Staje w otwartych drzwiach. Nie ruszy się, za skarby świata nie ruszy się przez próg. Tak, drzwi otwarte, wszystko widać z sali.

Ale majster wstaje od stołu, pociąga dalej i zamyka drzwi. Przekręca klucz. Niewydany krzyk zamiera w gardle.

No, namyśliłaś się?

Głos jest złowrogo słodki. Zdaleka zalatuje Ankę słaby zapach alkoholu.

Nie bądź głupia.

Ale Anka właśnie jest głupia. Całą siłą wydziera się z grubych ramion. Wali naoślep w tłusty, świecący pysk. Drapie pazurami po twarzy, po rękach, gdzie popadnie.

Na nic. Wtedy z całego gardła przeraźliwy, rozgłośny krzyk. Aż się sama wzdryga.

Majster odskakuje jak oparzony.

Na czole krople potu, krew wąziutkiemi strumieniami sączy się z zadrapań na policzkach i czole. Rozerwany w czasie szamotania kołnierzyk. Oczy nabiegłe krwią jak u rozszalałego byka. Latającemi rękami prędko odmyka drzwi.

Won! do maszyny!"

„Pusta droga otwiera się przed Anką. Bezrobotny szlak w czarnem, przeklętem od Boga mieście. Otchłań bez dna i bez kresu".

Sala sądowa również może nie byłaby świadkiem dramatycznej sceny, gdyby nie... alkohol.

„Pan sędzia czyta akt oskarżenia. Nie byle co — włamanie, złoty zegarek, coś tam jeszcze. Chłopak niedołężnie odpowiada na zadawane pytania rozwlekłym, śliniącym się głosem. Pokaszluje, obciera rozpaczliwie brudnym rękawem zasmarkany nos. Z głupkowatym uśmiechem rozgląda się po sali.

A bo to było tak —

No?

A bo to było tak —

Jąka się, stęka, bezradnie wyłamuje palce. W gruncie rzeczy nie bardzo wie, czego od niego chcą. Jednak w końcu cała historja jest jasna, cała zwyczajna, prosta historja. Ojciec pijak trzeci rok bez pracy. Matka umysłowo chora. Mieszkanie w baraku dla bezdomnych. Rano, w południe, wieczorem, o każdej porze cięgi.

Ojciec bije pasem, wyjaśnia rzeczowo. A zaś matka co dopadnie. Rano sprzedaje się gazety. Potem wysyłają na żebry. Ojcu na wódkę — tłumaczy, pociągając nosem.

I teraz — złoty zegarek na stole w parterowym pokoju zacisznej

ulicy. Złoty zegarek — wybawienie — droga w daleki świat, „jak w tym sklepie za wystawą".

Gdzie chciałeś jechać?

Mętne oczy ożywiają się na chwilę. Przejmującym, tęsknym głosem odpowiada sędziemu: Daleko, daleko...

Sędzia się śpieszy — nawał spraw".

A dziatwa w szkole mówi między sobą o nauczycielu: „Po kątach zdaje się popija, bo często z gęby wódką jedzie, ale jak to alkohol szkodzi, toby umiał i przez dwie godziny pleść". Mamy więc z dziecinnych ust odpowiedź miarodajną, rzeczową na pytanie „abstynencja, czy umiarkowanie", — mamy jasne wymaganie dziatwy, — tych surowych ale i sprawiedliwych sędziów, by nauczyciel, uświadamiający o szkodliwości alkoholu, sam zawsze był trzeźwy, bo dotrze do nich woń zdradliwego napoju z ust i umiarkowanie go używającego, a wówczas wszelkie pogadanki, pokazy, wykresy nie wywrą najmniejszego wpływu.

Wnikliwem, badawczem okiem przenika Wasilewska otchłań nędzy, w której żyją ludzie, — widzi również, że „gruźlica lęgnie się wszędzie. Hodują ją bezsłoneczne zakamarki niskich izb. Kurz, wdzierający się z ulicy w okna suteryn. Sienniki, na których śpi po troje i czworo. Duszne warsztaty. Posępne hale fabryczne. Dopomaga jej głód, jałowe ziemniaki na rano, wieczór i południe, kieliszek wódki, tej, co krzepi za ostatni pożyczony grosz. Wygląda z oczu wątłych dzieci, z chudych twarzy wyrostków, z ceglastych wypieków na policzkach kobiet. Ścieka lepkim potem po zapadłej piersi mężczyzn. Rozlewa się żółtą flegmą, gęstym bryzgiem plwociny na wypaczonej podłodze. Połyskuje żyłkami krwi na brudnej chusteczce. Odzywa się głuchem rzężeniem dziurawych płuc. Budzi po nocy upartym, rwącym kaszlem. Wybucha czerwienią krwotoków".

I suną się w tej książce obrazy, od których nie wolno oczu odwracać, gdyż już obecnie niema ucieczki od rzeczywistości, — niema nigdzie bezpiecznych schronów przed dramatem dziejowego przełomu dla uczciwie myślącego i rzetelnie współczesnego człowieka. „Podają sobie nad ciemnem miastem przyjazną rękę wysokie kominy fabryczne i wysokie wieże kościołów. Biegnie im w pomoc prawo, przepis, paragraf. Szerokim cieniem kładą się na życie. Na życie pracującego człowieka. Zaciska sam sobie na gardło pętlicę niewidzący człowiek. Pielęgnuje, umacnia kraty swojego więzienia. Sam kuje ogniwa w wiążącym go łańcuchu. Nienawidzi tych co łańcuch szarpią. Tak go przecie uczono z pokolenia na pokolenie, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Wyssał to z matczynej piersi, z nauk ojca, z karmy każdego dnia. Podtrzymuje własnemi barkami walący się gmach, tkliwie podpiera zmurszałe belki".

A Anatol, ten, co to, „ani pijany nie wraca do domu, ani za dziewczętami nie goni", „czyta powolutku, uważnie, trudne słowa. Ścibie mozolnie literę do litery, zbiera je w wyrazy, łączą się w zdania, w okresy, w nową myśl. Ustawiają się w mózgu ścisłym, związanym szeregiem". Anatol nie tylko czyta, ale i... marzy — to mu przecie wolno. Marzy mu się „jeden, olbrzymi, złączony żelaznymi nitami wspólnej sprawy tłum. Spojony na śmierć i życie cementem wspólnej pracy. Bijący zgodnie jednem tętnem serc. Jednego pragnący i ku jednemu idący zgodnym rytmem kroków. Od świtu do nocy urabia teraz ręce, żeby było

właśnie tak. Do chrypki zdziera teraz gardło, żeby było właśnie tak. Obudzić z przeklętej bierności, rozpalić buntem. Objąć wszystkich olbrzymim koliskiem, wciągnąć sobków i obojętnych, ciemnych i zahukanych, rozdeptanych, zmiażdżonych, błąkających się samopas. Wydźwignąć w światło z ciemności świata. Huczącym tłumem od krańca po kraniec ziemi".

„Narodziny Człowieka"[1]) Elżbiety Szemplińskiej są książką, w której się wyczuwa wielkie bogactwo materjału twórczego. Ma się wrażenie nadmiaru treści, którą pisarka trzyma w pewnym dystansie, aby nie rozsadzać nakreślonych form utworu. Obok niesłychanie ciekawego procesu kształtowania i rozrastania się psychicznego Aldy, mamy historję ludzi doroslych, których tragedją jest to, że się faktycznie jeszcze nie „narodzili", mimo, że dawno powinni byli to uczynić. Chodzi tu o to, że Kalikst i Eugenjusz borykają się przez całe życie w niemocy wewnętrznego uświadomienia swych możliwości — oni sami nie wiedzą właściwie, czego chcą, do czego są zdolni. Stają się wreszcie typami chorobowymi, z powodu nieznośnego poczucia swej niepełnowartościowości. Okrucieństwo Kaliksta w stosunku do żony i do dzieci ma swe źródło w zahamowanej ekspansji psychicznej, w zupełnem nieuświadomieniu celu, skłonności, dążeń i potrzeb, które niewyzyskane nurtują, burzą się i zatruwają cały organizm. Zabójczą jest również u tych ludzi pustka wewnętrzna, a jej konsekwencję stanowi konieczność stwarzania pewnych zastępczych fikcyjnych nastawień, około których zaczynają się obracać ich zainteresowania. Urojenia, że są przedmiotem drwin, szyderstw i upokorzeń otoczenia prowadzą do stanu, graniczącego z chwilową niepoczytalnością, jak np. scena między Kalikstem, a Eugenjuszem zapoczątkowana w biurze.

A Otylja i Andrzej? Znów jednostki, którym warunki nie pozwalają odnaleźć właściwej drogi dla swych utajonych możliwości. Andrzej, będący prawie zawsze pod wodą, chciwie zagarnia stopami grunt, by stanąć na nim wreszcie mocno, ale nigdy nie może tego dokonać, bo zły los w nim tkwiący spycha go stale na dno w momencie, gdy już wyzwolenie blisko. Otylja również ma skrzywioną twarz wewnętrznej swej istoty — dźwiga chimerę kiedyś ujrzaną w postaci zawsze tej samej... mężczyzny, który był i... odszedł, a ona zapomnieć nie może. Wiecznie ta sama historja!

A cóż czyni Kasia, gdy Kalikst „wrócił pijany, gdy zatoczył się na progu, gdy upadł na środku czyściutkiego dywanu, spocony, brudny, nieprzytomny, ohydny... Jego zabłocone buty i jego jasna głowa i jego rozrzucone po dywanie drgające ręce... Kasia uciekła z domu. Postanowiła go znienawidzieć. Zamieszkała u ojca. Tak minęło kilka miesięcy. Widziała go raz na ulicy. Lecz on jej nie dostrzegł. Miał bladą, smutną twarz i zapadnięte oczy. Nie szukał jej, był zbyt dumny zapewne. Wtedy napisała: jeśli chcesz wrócę!" I powróciła. I powtórzyła się historja wiernego, biernego serca, które nie może odejść, mimo, że jest poniewierane. A po okropnej scenie, gdy uderzona zaciśniętą pięścią mężowską w pierś, pada i tłucze głowę o róg szafy, opowiada struchla-

---

[1]) Elżbieta Szemplińska: „Narodziny Człowieka". Warszawa. Bibljoteka Groszowa. Str. 233.

łym, garnącym się do jej kolan dzieciom prześliczną bajkę o pająku, zawierającą dzieje kobiety, jednakie po przez stulecia długie, zawsze znaczone stygmatami krwi i łez bezsilnych. Oto ona:

„Była jedna wesoła i szczęśliwa dziewczyna w nowej sukni z kwiatem. Dziewczyna ta ukochała czarnego pająka o wielkich niespokojnych oczach i oddała mu swe życie. Pająk oplątał ją, usidłał, uwikłał w swojej pajęczynie. Pająk mówił, że kocha i gnębił. Pająk mówił, że wierzy i podejrzewał, pająk mówił, że wielbi i upakarzał. Smagał, obrzucał błotem, deptał, więził, dręczył nieludzko biedną dziewczynę. Mówił: idź, jak ci źle. Ale dziewczyna kochała pająka. Mówił: precz! Ale dziewczyna nie mogła odejść. Wypędzał za drzwi, a gdy wreszcie dziewczyna odeszła, zarzucał jej podłość i interesowność, przypominał o swej wierze i o swem złamanem życiu, dokąd, nanowo oplątana pajęczyną, dziewczyna — nie wróciła do niego.

Teraz dziewczyna jest staruszką. Ma troje ukochanych dzieci. Te dzieci — to cała jej radość, jedyne jej szczęście.

Dzieci biegają, bawią się, potem się uczą, wyjeżdżają, wracają, zapominają i przypominają sobie — żyją. A staruszka patrzy za niemi, patrzy, patrzy — i płacze i przypomina sobie swoją różową suknię i pająka i jeden śliczny bal".

Artystka bajkę pisała, więc jest piękną. Może ta sama artystka napisze jeszcze inną bajkę, którą współczesna kobieta opowie swym wnukom. Wierzę, że nie mniej piękną będzie. Wierzę, że zastanawiając się nad swą przeszłością owa nadchodząca staruszka nie zapyta: „Cóż mogło stać się gorszego? Cóż mogło się stać jeszcze? Tylko tyle, że w ciągu lat, rosły dzieci, rosła nienawiść i gorycz. Dzień narodzin Aldony był dniem śmierci ostatniego pozoru miłości jej rodziców, ostatniej możliwości jej zmartwychwstania". A oto inny obrazek — ponury fragmencik, — szkic z codziennych zaułków życia wiejskiego, czy miejskiego, wszystko jedno: „Oto zasiadali przed domem, w słaniającym się blasku świecy: młody drapichrust Wiotek, — łysy tragarz kolejowy — Ignacy, staruszek, owocarz, parobek bez ręki; ciężcy, ciemni, ostro pochyleni nad stołkami, jak walące się w przeszłość głazy.

Mrok miękki, niebieskawy, wypełniający przestrzeń między niebem a ziemią, w górze perłowy, w dole brunatny, zmieniał się wokół nich w brudną szarość, drgającą niepewnie wśród bladego światła.

Stawką była wspólnie zakupiona butelka wódki, ustawiona tuż obok świecy, na środku stołka. Jeśli przynosił ją z karczmy Wiotek, dzieci widziały, jak po drodze odpijał nieco, zadzierając w górę blady ryjek ust i dolewał wody z kałuży. Jeśli posłano po nią owocarza, oglądał tylko pod światło butelkę, i wąchał korek, mlaskając, jakby się spodziewał odkryć jakąś nową rozkosz w dobrze znanej, palącej i cuchnącej wodzie. Była to nowość i rozkosz za każdym razem, za każdym łykiem, od tylu, od siedemdziesięciu lat...

Raz jeden się upiłem... Raz jeden się urżnąłem... ale jak! jak! Był wtedy urodzaj na owoce... mówił.

No, pytał ciekawie szewc.

Staruszek rozkładał ręce i powtarzał, bijąc pięścią w małą i brudną, jak zgniła cytryna, głowę:

Za mocny łeb, za mocny... niema pieniędzy, żeby go upić... A po-

tem pocieszał się naiwnie, rozwierając bezzębne usta: zestarzeję się jeszcze, osłabnę, da Bóg, upiję się jednym kieliszkiem...“ Tak mu się chce upić, tak mu trzeba na gwałt zapomnieć o tem, co go otacza, uciec w krainę ułudy, której dostarczy kieliszek wódki upragniony, wymarzony. Biedny owocarz — biedny staruszek. No — z wysiłkiem trzeba sobie powiedzieć: dosyć. Tyle jeszcze byłoby w tej książce do podkreślenia, do omówienia! Czekam niecierpliwie na drugi tom. Alda zbyt mię urzekła, by dalsze jej losy mogły się stać obojętne i nie roznieca ć pasjonującej ciekawości.

„Krzyże z Papieru“[1]) Ewy Szelburg-Zarembiny, to również ten sam rodzaj literatury, dającej możność wniknięcia w mroczne zaułki życia. Literatura ta spełnia wielką rolę społeczną, gdyż ukazuje rzeczywistość, o której wielu nie miałoby nawet pojęcia i wyobrażenia. Sytych i mających dach nad głową poucza o głodnych i bezdomnych, woła o straszliwej krzywdzie dziejącej się na całej kuli ziemskiej, a dokonywanej przez ludzi na ludziach. Są to książki w pierwszym rzędzie dla inteligencji, a że są pisane z talentem, więc spełniają niewątpliwie swe zadanie, na razie, niestety, w sferze wzruszeniowej. Jest to wołanie niecierpliwe, a groźne, ostrzeżenie pełne alarmu, że dramat dziejowy tak zwanych „nizin“ społecznych nasyca się po brzegi krwią, że może bliska chwila, a zaczną się dziać rzeczy decydujące.

„Opowieść o Salusi“, którą kończy Ewa Szelburg-Zarembina swe „Krzyże z Papieru“, skupia bodaj wszystkie walory artystyczne pisarki. „Opowieść o Salusi“ należy do najwspanialszych kart naszej literatury — panuje tu piękno dostojnego, zwartego, skupionego słowa, dającego niezapomniany, żywy, malarski obraz. Artyzm sprawia,, że czuje się, widzi i niemal słyszy słabnące bicie Salusinego serca, o którem się nigdy już nie zapomni.

Jest jeszcze jedno krótkie opowiadanie, na które również szczególną zwróciłam uwagę, pod tyt.: „Jaka?“. Do pisarki w dzień deszczowy przychodzi goniec — taki siedemnastoletni wyrostek, przemoknięty i zziębnięty. Załatwiwszy sprawę, która go tu przywiodła, dodaje, że czyta właśnie książkę, napisaną przez nią; „tylko, że z książkami nie zawsze jakoś... tak...

Jakto?

A tak... Siebie szukasz. Znaleźć trudno. I o co się zaczepić? Niby, pani rozumie, szukasz jak żyć? I niema“.

A dalej Zarembina pisze. „Straciłam go z oczu, nie straciłam go z myśli. Od tej chwili osaczyły mię zawiłym kręgiem ciemne, mokre ślady zdartych w młodzieńczym pośpiechu podeszew, maszerujących w rytmie głodu, głodu wszystkiego, nietylko chleba i pracy, ale głodu sensu, idei. Szukasz w takiej książce, jak żyć? i niema...

To prawda. Niema“.

Otóż analogiczne troski i mnie opanowują przy czytaniu, zwłaszcza programów i haseł tak zwanej „proletarjackiej“ literatury. Jakieś przykre nieporozumienia kryją się w tych wezwaniach i odezwach. Mam głębokie przekonanie (o którem już zresztą pisałam), że gdy „prole-

---

[1]) Ewa Szelburg-Zarembina: „Krzyże z Papieru“. Warszawa 1934. Rój. Str. 227.

tarjat“ odezwie się i wypowie, to nie będzie zważał na klauzule i paragrafy, które my teraz tak hojnie twórczości nakreślamy. Literatura była i będzie zawsze emanacją nowych wartości, a obecna doba, wykazująca niesłychany przewrót we wszystkich dziedzinach, rzecz prosta, otwiera i przed nią perspektywy dalekie. Twórczości, tak jak i życiu, niepodobna z góry nakreślać nakazów — twórczości, tak jak i życia, niepodobna zamknąć wyłącznie w płaszczyźnie codziennego „zwykłego“ bytowania. Tem więcej, że budować lepszą rzeczywistość ma właśnie ten „zwykły“ człowiek, tylko że on bynajmniej całkowicie się nie wypowiada w codziennej, szarej egzystencji. Pragnie on w książce znaleźć nie tylko artystyczny wizerunek własnej doli, lecz i promień słońca, myśl rozświetlającą, ideję, prawdę. Szuka „jak ma żyć“. Obdarty, zmoknięty goniec nakreśla rzutem swej tęsknoty — pytaniem rzuconem natrętnie: „jak żyć“, program realny, ogromny. W pytaniu tem mieści się wszystko, nad czem pracowały i pracują najwybitniejsze umysły ludzkości. Obok literatury o tem, co jest, powstanie druga, o tem,, co może być i co musi być, bo tego domagają się ci, co idą „budować świat wolnych ludzi“.

Na Zjeździe Pisarzy Sowieckich odbytym w Moskwie we wrześniu b. r. Francuz Malraux w swem przemówieniu powiedział znamienne słowa, idące całkowicie po linji zapotrzebowań naszego młodziutkiego gońca: „Świat oczekuje od was obrazu nietylko rzeczywistości, lecz i tego, co ją przewyższa“.

Ewa Szelburg-Zarembina rozważania swe na ten temat wypowiada w następującym urywku: „A że do głosu przyszedł teraz człowiek „zwykły“, literatura, łudząc się, że człowiek ten nie pragnie niczego ponad przeciętność, zaczęła nagwałt cenić jego zwykłe, właśnie „zwykłe“ życie. Aż dla niej samej stało się to wygodne, gdyż jak ów czarodziej z bajki, gdy straciła swoją czarodziejską laseczkę romantycznego patosu — okazało się, że ręce ma puste.

Więc część pisarzy z bezideowości swojej stworzyła właśnie ideę i lepi książki z zawsze bliskich każdemu człowiekowi okruchów życia.

... Szukasz w takiej książce, jak żyć, i niema... przypominają mi się słowa ociekającego deszczem bezrobotnego gimnazisty, chwilowo bankowego gońca w podartych butach, ściskającego w mocnych, odmrożonych palcach abonament wypożyczalni, gdzie tak poczciwie dają mu za opłatę jednej książki — dwie.

... Szukasz jak żyć...

A inna część pisarzy, mająca ambicję dzierżenia sztandaru idei, dziedziczonego z pokolenia literackiego na pokolenie, potrząsa transparentem z napisem:

„Państwo“ i powiada:

Oto jest odpowiedź i całkowita.

Jakgdyby dziś nie zmieniło się nic od dawnych, bardzo już dawnych czasów, gdy to:

„Szli, krzycząc: Polska! Polska! wtem, jednego razu,
„Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu,
„Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
„Szli dalej krzycząc: „Boże, Ojczyzna! Ojczyzna!“

„Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,

„Spojrzał na te krzyczące i zapytał:: „Jaka?“

Otóż właśnie: jaka?

Na drodze stanął Klimontów, żyrardów, Bałuty... Ze wszystkich okien, zalepionych skrzyżowanymi skrawkami papieru w przededniu próbnego ataku gazowego, patrzą oczy, oczy bezrobotnego uczniaka, tymczasowego gońca z banku. Pytają:

„Jaka“?“

„Sąd Idzie“ [1]) Ireny Krzywickiej jest zbiorem reportaży, drukowanych w „Wiadomościach Literackich“. Znamy je — lecz jeszcze raz przejrzyjmy sprawozdania sądowe, które są raczej refleksjami nad paradoksalnością życia i prześwietlaniem tego życia krytyką myśli, głęboko przejętej niedolą ludzką. Krzywicka wspaniale uwypukla konflikt między skądinąd słusznymi i racjonalnymi przepisami prawa, a jednoczesną absurdalnością tych nakazów wobec warunków życiowych, w jakich znajduje się obywatel, szczerze pragnący być lojalnym członkiem społeczeństwa, a popełniający wykroczenie jedynie z racji fizycznej niemożności stosowania się do norm: „Chcemy być uczciwi, — wołają wszyscy ci „przestępcy“, co mamy robić? Co dać dzieciom?“ Albo gdy sędzia przed ogłoszeniem wyroku pyta oskarżonego, który znalazł się na sali sądowej, jako ofiara kryzysu przeżywanego, o co pan, czy pani prosi, to ci, „którzy znajdują się w sądzie po raz pierwszy, spoglądają bezradnie, z niepokojem i z nadzieją: „O co prosi“. Mój Boże, małoż to jest rzeczy do proszenia. Czy to możliwe, że tu nagle można prosić? I jeszcze się pytają uprzejmie, jeszcze sami wyciągają na słowa? Zwłaszcza w oczach sprzedawców ulicznych błyska obłąkana wprost nadzieja. Może można prosić o pracę? Albo żeby matkę do szpitala wzięli. Albo dzieciom...“ [2]).

W sprawie Gorgonowej znajdujemy wiele słusznych, mądrych naświetleń, sięgających do podstaw obyczajowości naszej, rzucających czytelnikowi nakaz rewidowania uświęconych norm etycznych, strzegących jego własnego bezpieczeństwa, a w istocie kruchych i słabych wobec niesłychanego skomplikowania z jednej strony warunków życiowych, a z drugiej nieobliczalnych możliwości psychicznych, kryjących się w każdej jednostce. Jakżeż świetnie w kilku słowach scharakteryzowała Krzywicka dom Zaremby, człowieka, którego miano odwagę nazywać dobrym i czułym ojcem: „Wogóle od tej kobiety wymagało się cnót nienagannej mieszczki, nie dając jej wzamian tego, co jest ekwiwalentem mieszczańskości — zabezpieczonego bytu i nieskazitelnej sytuacji.

No i ta przystań, którą sobie wybrała, to ognisko domowe, przy którem przysiadła na chwilę. To azylum ideałów mieszczańskich, jakie sobie wyroiła wśród głodowej poniewierki, to święte ognisko domowe, w którem ją wszyscy sąsiedzi, wszystkie służące uważały za intruza. Pijaństwo, delirium tremens, obłęd, erotomanja, oto wkład psychiczny

---

[1]) Irena Krzywicka: „Sąd Idzie“. Warszawa. Rój. 1935.

[2]) Potwierdzenie tego co pisałam o psychologji bezrobotnych w Nr. 9-10 b. r. „Trzeźwości“.

tej szanownej rodziny. W tej atmosferze oraz w towarzystwie coraz to nowych kobiet, sprowadzanych przez ojca, chowały się dzieci. Tej to świętej atmosfery broniła Lusia, judzona zapewne przez krewnych i sąsiadów".

W procesie Blachowskiego mamy subtelną analizę stopniowego załamywania się sił wewnętrznych człowieka, który przebył lat 8 na katordze, jako zesłaniec za udział w N. P. R., a gdy już w Polsce niepodległej otrzymuje nędzną posadę w Żyrardowie, wstępuje do P. P. S. i zostaje prezesem Rady Miejskiej. Wówczas dopiero zaczęło się dla niego „prawdziwe życie, nie ta jego negatywna afirmacja, jaką jest cierpienie, ale prawdziwe życie, do którego czuł się stworzony: walka, władza, działanie. Stanowisko prezesa Rady Miejskiej jest honorowe, nie chodziło mu o pieniądze. Ale poczucie, że się jest kimś, że muszą się z nim liczyć, — o tak! nareszcie!" „I nagle trach! wszystko pęka. Następna kadencja Rady Miejskiej. Własna partja go utrąca". „Co się stało? W czem zawinił? Tajemnica. Niepodobna się dowiedzieć. Czemś naraził się partji. Obawiamy się mocno, czy to nie zbytnia niezależność zdania, czy nie jakieś nieposłuszeństwo dyrektywom płynącym z góry. Czemuż tak wstydliwie to ukrywają, czy aby go nie obciążać, czy aby się samym nie demaskować?" „To jest moment jego załamania się, a droga na dół jest szybka. Zaczyna pić, on — który dawniej nie znał wódki. Cierpi na ostrą neurastenję, na nerwicę żołądka, nie sypia, nie jada". „To, co przeżywał, nie było rozpaczą człowieka zaplątanego w sytuację bez wyjścia, to były raczej przemijające kłopoty. Może był pijany? Zapewne wypił na krótko przed zbrodnią parę kieliszków wódki, akurat tyle, aby zardzewić hamulce psychiczne, aby przyśpieszyć prąd, płynący od centrów nerwowych do mięśni, tak, żeby się minął z ostrzeżeniem i grozą biegnącemi z mózgu. Ale tych parę kieliszków, to była fraszka dla człowieka, który pijał rzadko, lecz potężnie „zapojem", jak to nazywają Rosjanie. Może tych parę kieliszków, wypitych owego fatalnego dnia, to był właśnie początek takiego okresu, wiążącego się zapewne z zapadaniem się psychicznem. Ale alkohol mógł tu być powodem, nigdy przyczyną".

„Cóż za los tej pani Blachowskiej! Praca, orka bez wytchnienia, dzieci, pijaństwo męża, teraz jego zbrodnia, przytem ani śladu nietylko załamania się, ale nawet zaniedbania: czysto wymyta, starannie ubrana i ona, i dzieci. Usta zaciśnięte. Wytrzyma. Czy nie mam racji, gdy mówię, że nic się nie da porównać z potężną energją i odpornością kobiety!" Muszę kończyć, więc podaję tylko miejsca bezpośrednio zahaczające o alkoholizm, odsyłając czytelników moich do książki, posiadającej wiele ciekawego, społeczno-obyczajowego materjału.

Oto podałam krótki przegląd nowych książek, mających, obok wartości artystycznych, wielkie znaczenie społeczne. Zaznaczam jeszcze raz, że nie mogłam wypowiedzieć się całkowicie, musiałam pominąć wiele rzeczy milczeniem. Łączy te książki jedna wspólna cecha: mimo, że autorki odmalowują ciężkie, tragiczne życie, nie złorzeczą mu, a kochają je twórczą, kształcącą miłością. Wierzą w niewyzyskane możliwości człowieka. Czują one, że jeśli chcemy budować lepszą przyszłość, to musimy naszą współczesność rozumieć, a więc jaknajbaczniej się wsłuchiwać we wszystkie jej głosy, jaknajżyczliwiej badać jej wielorakie prze-

jawy, krystalizujące się w powikłaniach, jakich jesteśmy świadkami. I dlatego nasze wysoce utalentowane literatki zdobyły przodujące miejsce w dorobku artystycznym paru lat ostatnich.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

Dnia 22.XI. 1934.

ZADANIA POLSKIEGO RUCHU PRZECIWALKOHOLOWEGO, ORAZ NAUKI POLSKIEJ WOBEC MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU PRZECIWALKOHOLOWEGO W WARSZAWIE W R. 1937.

(Referat wygłoszony dn. 6.XI. 34 w Krakowie na Specjalnej Konferencji w Uniwersytecie Jagiellońskim).

XIV Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Medjolanie w r. 1913 (ostatni przed Wojną Powszechną) uchwalił, że następny Kongres Międzynarodowy odbędzie się w Krakowie. Był to akt przyjaźni wobec Polski w niewoli.

Wojna przekreśliła możność wykonania tej uchwały.

Następny Kongres Międzynarodowy odbył się bezpośrednio niemal po wojnie, bo w r. 1919 w Waszyngtonie. XVI Kongres miał miejsce w r. 1921 w Lozannie. (Na obu tych Kongresach — w Waszyngtonie i w Lozannie delegatów polskich nie było). XVII Kongres odbył się w r. 1923 w Kopenhadze — delegatem Rządu Polskiego na Kongresie tym był ś. p. prof. dr. Rafał Radziwiłłowicz, polskie sfery sejmowe reprezentowała ś. p. posłanka Irena Puzynianka, trzecim delegatem polskim był prof. dr. Eugenjusz Piasecki z Poznania. XVIII Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy odbył się w Tartu (Dorpat) w Estonji w r. 1925 — na czele delegacji polskiej stał sędzia Sądu Najwyższego p. Jakób Glass, który poczynił pewne przygotowawcze kroki w celu zaproszenia jednego z następnych Kongresów do Polski. XIX Kongres odbył się w Antwerpji w r. 1928; na czele polskiej delegacji stał ś. p. prof. dr. Rafał Radziwiłłowicz, który w imieniu Rządu Polskiego zaprosił następny Kongres do Warszawy — zaproszenie to mimo pewnych poważnych trudności dzięki osobistym wpływom i taktowi prof. Radziwiłłowicza zostało przez Kongres przyjęte. Jednakże wskutek szeregu przyczyn — głównie kryzysu — nie zostało w czyn wprowadzone i XX Kongres odbył się w roku bieżącym w Londynie, gdzie urzędowym delegatem Polski był p. dr. Henryk Zajączkowski, Dyrektor Państwowego Zakł. Lecz. w Świacku. W Kongresie tym wzięli udział przedstawiciele 26 krajów. Rząd Polski ponowił swe zaproszenie i Kongres najchętniej powziął uchwałę — urządzenia następnego — XXI Kongresu w r. 1937 w Warszawie.

Celem tych Międzynarodowych Zjazdów jest: a) informowanie się wzajemne o stanie alkoholizmu i walki z nim w różnych krajach, b) poszukiwanie nowych dróg i metod w walce z alkoholizmem i c) referowanie wyników ostatnich badań naukowych w dziedzinie zainteresowań Kongresów.

Fakt zwołania w r. 1937 Kongresu do Polski ma dla nas niewątpliwie wielkie znaczenie; będzie to niezwykła okazja do rozwinięcia silnej propagandy w kraju, da to naszej nauce sposobność dokonania szeregu prac oryginalnych z zakresu alkohologji. Otwiera się możność przeprowadzenia tych prac, gdyż niewątpliwie w związku z Kongresem będzie można uzyskać na podobne badania odpowiednie subwencje.

W najkrótszym zarysie chciałbym wskazać na pewne tematy, których opracowanie mogłoby mieć największe znaczenie praktyczne dla światowego ruchu przeciwalkoholowego. Odrazu zaznaczam, że ze względu na ogrom samego przedmiotu i jego niezmierną wielostronność — poruszę tylko nieznaczną część tematów.

1) Na pierwszem miejscu postawić należy zagadnienie działania na system nerwowy człowieka małych dawek alkoholu; jest to jedna z najważniejszych spraw w całej kwestji alkoholizmu — badania Kraepelina i jego szkoły są już nieco przestarzałe.

2) Drugiem niezmiernej doniosłości zagadnieniem oczekującem nowych badań jest sprawa korelacji pomiędzy alkoholizmem a rozpowszechnieniem gruźlicy, na co tak silny nacisk kładł ś. p. prof. dr. Alfred Sokołowski.

3) Równej doniosłości zagadnieniem, wymagającem nowych badań naukowych — jest sprawa dziedziczności. Zwłaszcza dotyczy się to badań prof. Bunge nad zanikiem pokarmu u córek alkoholików, oraz nad próchnicą zębów u potomków alkoholików.

4) Psychopatyczne usposobienie jako podłoże do rozpowszechnienia narkomanij, a w ich szeregu i alkoholizmu.

5) Alkoholizm i walka z nim, jako jedno z zagadnień eugeniki.

6) To samo w odniesieniu do spraw higjeny psychicznej.

7) Zagadnienie związku pomiędzy alkoholizmem, a ropowszechnieniem raka (na co u nas szczególną uwagę zwracał ś. p. prof. Benedykt Dybowski i obecnie prof. Nowicki we Lwowie).

8) Sprawa wzmożonego szkodliwego działania alkoholu na organizmy osłabione wskutek niedostatecznego odżywiania się, a zwłaszcza dzieci.

W dziedzinie zjawisk ekonomicznych mamy również dużo poważnych zagadnień, związanych ze sprawą alkoholizmu.

9) Badania zmierzające do ustalenia bodaj przybliżonej wysokości pośrednich strat materjalnych, powodowanych przez alkoholizm szerokich mas ludności (cennym przyczynkiem w tym zakresie jest praca p. Mikołaja Skiby p. t. „Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze w Polsce").

10) Alkoholizm i częstość pożarów — zwłaszcza na wsi.

11) Wpływ alkoholizmu na obciążenie świadczeń opieki społecznej.

12) Wpływ alkoholizmu na zmniejszenie wydajności pracy.

13) Prace kliniczne w zakresie leczenia alkoholików chronicznych. (Należy zwrócić uwagę na niezwykle słabo rozwiniętą w Polsce sieć poradni dla alkoholików, których mamy zaledwie 11, gdy Niemcy mają przeszło 500 — więc i tu jest bardzo wiele do zrobienia).

14) W dziedzinie szkolnictwa mamy do przeprowadzenia wielką statystykę alkoholizmu dzieci szkolnych — obejmującą całe państwo —

a jak wykazały badania p. K. Hrabina („Narkomanje w szkole“) — badania te powinny zwrócić również uwagę i na sprawę możliwości eteryzmu wśród dzieci szkolnych. Wzrost przemytu eteru na Górnym Śląsku, oraz w powiatach Gorlickim, Nowo-Sądeckim i Nowo-Tarskim wskazuje na groźne niebezpieczeństwo eteryzmu ludności.

15) Sprawa wprowadzenia alkohologji do szkół w jakiejkolwiek postaci jest oddawna dojrzała, wymaga jednak poważnego wysiłku ze strony naczelnych Władz oświatowych i odpowiedniego przygotowania kadr nauczycielskich. — W tym zakresie dużo do zrobienia mają lekarze i psychologowie szkolni.

16) W zakresie popularyzacji alkohologji wśród szerszych mas— należałoby życzyć, aby za przykładem Uniwersytetu Jagiellońskiego i inne nasze Uniwersytety powołały do życia instytucję „Wykładów Powszechnych“, a w programie ich umieściły wykłady z działu alkohologji.

17) Skoro mowa o nauczaniu alkohologji należy wspomnieć o konieczności pogłębienia tej sprawy w szeregach Harcerstwa, a szczególną uwagę należy zwrócić na wojsko. Przecie tam zbiera się kwiat narodu, młody, najcenniejszy materjał ludzki; obecnie wojsko ma za zadanie nie tylko przygotować ten materjał ludzki do obrony Państwa, ale jeszcze uobywatelnić go. Jednem z poważnych zadań pod tym względem powinno być: aby młodzieniec w wojsku stał się człowiekiem całkowicie trzeźwym i żeby wojsko nauczyło go, dlaczego Państwo wymaga tego.

18) Powinny być przeprowadzone nowe dokładne badania nad związkiem pomiędzy alkoholizmem a przestępczością, oraz nieszczęśliwymi wypadkami. (Prace prof. Wachholza, prof. Grzywo-Dąbrowskiego (samobójstwa), płk. dr. Nelkena, ś. p. sędziego Kuzi — nie wyczerpują przedmiotu).

19) Z powyższem łączy się sprawa przestępczości nieletnich w związku z alkoholizmem, dalej prostytucja i samobójstwa nieletnich.

20) Dużo jest jeszcze do wyświetlenia i ustalenia w sprawach związku pomiędzy alkoholizmem, a włóczęgostwem i żebractwem.

21) Tak samo w stosunku do prostytucji oraz handlu „żywym towarem“ i

22) W sprawie rozpowszechnienia chorób wenerycznych.

23) Wreszcie należy zwrócić uwagę, że poza badaniami doświadczalnemi działania alkoholu na organizm zmęczony ś. p. prof. Popielskiego i ś. p. dr. Czesława Otto — badań podobnych, zdaje się, nie przeprowadzano u nas.

Od Kongresu Warszawskiego dzieli nas dwa i pół roku — mamy więc sporo czasu, aby można było niejedną rzecz wykonać, niejedno badanie przeprowadzić, które może rzucić snop światła na zawiłe zagadnienie alkoholizmu. W ten sposób nauka polska mogłaby się świetnie przyczynić do rozwikłania niejednej zagadki.

Należy z przyjemnością zaznaczyć, że już szereg prac w tym kierunku został rozpoczęty lub jest zamierzony. M. in. w Państwowym Zakładzie Higjeny w Warszawie (doc. dr. Gustaw Szulc), w Klinice Psychjatrycznej U. W. (prof. dr. Jan Mazurkiewicz), w Pol. Instytucie Badań Mózgu w Wilnie (prof. dr. Maksymiljan Rose).

W zakresie organizacyjnym — przygotowaniem Polski do Między-

narodowego Kongresu w r. 1937 w Warszawie i niejako pierwszym w tym kierunku krokiem będą obrady I Polskiego Zjazdu Abstynentów połączonego z I Zjazdem Lekarzy Abstynentów, oraz zamierzony XI Polski Kongres Przeciwalkoholowy w r. 1935/36 prawdopodobnie w Warszawie.

Międzynarodowy ruch przeciwalkoholowy odczuwa niewątpliwie pewnego rodzaju kryzys, co stoi w związku z upadkiem prohibicji w Finlandji i w Stanach Zjednoczonych A. P. — Odbiło się to i na losie naszej ustawy przeciwalkoholowej, ale jednocześnie można stwierdzić w tym ruchu na całym świecie objawy zdrowe, do których należy m. in. zwrócenie wielkiej uwagi na doniosłość szkolnego nauczania alkohologji: — mamy wprawdzie w tym kierunku rzecz poważną — Okólnik Ministra W. R. i O. P., dr. Dobruckiego, wprowadzający do wszystkich szkół jedną godzinę rocznie pogadanki na temat alkoholizmu, ale sprawy to nie rozwiązuje nawet w minimalnym zakresie.

Doniosłe znaczenie (narazie teoretyczne tylko niestety) mają uchwały Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia (Sekcji do walki z alkoholizmem) w sprawie konieczności wprowadzenia nauczania alkohologji w szkołach wszystkich typów.

Należy tu dodać, że w czasach, gdy tak słusznie narzeka się na upadek moralności, na brak ideowości — sprawa zwalczania najgorszej, bo najbardziej rozpowszechnionej narkomanji, jaką jest bezsprzecznie alkoholizm — nabiera szczególnie doniosłego znaczenia; polski ruch przeciwalkoholowy, oparty o badania nauki polskiej, o polski świat lekarski, może poważnie przyczynić się do pomniejszenia strasznej klęski alkoholizmu i w ten sposób spełnić jedno z najważniejszych zadań cywilizacji ogólnoludzkiej — uwolnienia się od jednego z najniebezpieczniejszych czynników destrukcji.

Pamiętajmy, że właśnie w tym zakresie mamy w przeszłości niejedną świetną kartę, niejedno istotnie zasłużone nazwisko — jak Jędrzeja Śniadeckiego, prof. Hechlla, prof. Jana Dogla, prof. Benedykta Dybowskiego, prof. Leona Popielskiego, prof. Rafała Radziwiłłowicza, prof. Z. Daszyńskiej-Golińskiej, a tu, w Krakowie, prof. Karola Kleckiego i prof. Jana Piltza.

Jan Szymański.

P O D A R U N E K.

Zapach świeżej kawy i ciętych kwiatów unosi się w pokoju, zalanym blaskiem południowego słońca. Nastrój uroczysty podkreśla zastawa małego stołu oraz staranny ubiór siedzącej przy nim pary ludzi. Milczenie. Siwa kobieta, ze wzrokiem spuszczonym, miesza bezmyślnie płyn dawno wystygły. Nagle, rzuca łyżeczkę, sięgając prędko po schowaną w kieszeni sukni chustkę.

— Tak, takby się zdawało... — zaczyna łkać, odwracając twarz od starszego człowieka, który patrzy na nią z bezradnem zakłopotaniem. Na lśniących czystością szybach bzyka niecierpliwie mucha. Kobieta płacze coraz gwałtowniej.

— Niech pani się uspokoi... No, cicho już, cicho... Niepotrzebnie mówiłem, bardzo przepraszam panią!

— To tylko... moje zdenerwowanie... Skąd pan mógł wiedzieć, że to, co cieszyć powinno..

— Niech pani nie myśli już o tem! Da Bóg, na lepsze wszystko się zmieni, Heniek tyle serca przecież okazuje...

— Serca! — tak, serca, ale... w drobiazgach... Otulenie szalem... „Czy mama zmęczona? Biedna, kochana mameczka“. — O, biedna! Nawet nie rozumie, ile prawdy zawierają pieszczotliwe słowa! że on, tylko on tego przyczyną. Tyle już razy...

— Kiedyindziej porozmawiamy o tem, lepiej mieć siłę na dzień dzisiejszy. Heniek tak pragnie widzieć panią pogodną w jej imieniny...

— Jak mnie to męczy! Ta jego dziwna miłość, jakość tej miłości... Gdyby zrozumiał ironję w niej zawartą... Ustępstwa w drobiazgach, o, nawet subtelność czasami, a takbym chciała czegoś innego!

— Czy mu pani kiedy mówiła?

— Mówiłam, czyżbym zdołała zamknąć ten żal w sobie? I było... jeszcze gorzej...

Pani Sieniczowa przerywa, wstrząśnięta nagłym dreszczem. Zmęczonym wzrokiem zapłakanych oczu patrzy nieruchomo w okno. Czarna mucha łazi teraz ospale po szybie. Chwilę panuje cisza.

— Gorzej... Pan nie wie... Jest między nami taka milcząca jakby umowa. Jego serdeczność ma mi zastąpić rzecz najbardziej upragnioną. Przynajmniej on tak to rozumie. I swojem odezwaniem się to naruszyłam, popełniłam czyn nielojalny. Jakżeto? Za tyle troskliwej czułości miała matka prawo dopominać się o podobne ustępstwo? O wyrzeczenie się drobnej przyjemności? Zesztywniał, czuł się dotknięty i ja... byłam dotknięta z nim razem. Oschłość jego głosu kazała mi spostrzec przekroczenie granicy, do czego on mnie nie upoważnił...

— Cóż rzekł pani?

— Bardzo mało, jeżeli słowa tylko brać pod uwagę: „że też mameczka podobnemi rzeczami lubi się zamartwiać! Śmierć ojca nie piciem była spowodowana i za podobne przywidzenia ja pokutować nie mam zamiaru! A choćby i tak było, można dziedziczyć jakieś upodobanie, a nie podlegać wynikłym z tego, zresztą urojonym, skutkom!“

Urojonym! Tak to powiedział. On gotów nawet uważać, że dobrocią jest to lekceważenie, które ma osłabić siłę moich wspomnień.

— I czyż nie ma trochę racji? Czyż pani zupełnie pewna słuszności swoich podejrzeń?

— Pewna, aż... zbyt pewna, więc o podejrzeniach samych mówić tutaj nie można. To — prawda żywa i krzywda ludzka, która na mnie ciąży dotychczas.

— Przesadza pani w zdenerwowaniu! Wypadkowi ulega nieraz człowiek najtrzeźwiejszy, więc także wtedy wyniknął może prosty zbieg okoliczności. Wszyscy...

— Wszyscy nie wiedzą o tem! Pan zna szczegóły, poprzedzające katastrofę? Nie... Więc tak było. Przyjechała moja najbliższa rodzina z dalekiej prowincji. Odnosili się zawsze do nałogu pijaństwa z ogromnem potępieniem, dlatego też ukrywałam przed nimi słabostkę mego męża. Pierwszy raz widzieli go osobiście i trzeba trafu — wracał wła-

śnie z resursy... Nie był trzeźwy, lecz jego podniecenia i dziwnego humoru ja tylko znałam przyczynę, rodzina moja, nie widując go dawniej, uważała to za stan normalny. „Jaki miły, wesoły człowiek“ — szepnęła mi bratowa, gdy na chwilę wyszedł z pokoju.

Wybierali się za miasto wynajętą taksówką. Czekała przed bramą. Chcieli nas wziąć ze sobą oboje, lecz zajęta byłam wtedy bardzo, wyjechać nie mogłam. „W takim razie zabierzemy ci męża!“ — woła brat. „Dobrze“. I nagle zlękłam się czegoś. Mąż umiał prowadzić maszynę, wiedziałam jak to lubi, napewno skorzysta z okazji. Nie mając prawa jazdy, poprosi za miastem szofera o ustąpienie mu kierownicy. „Nie jedź, Julek!“ — odzywam się pocichu. „Dlaczego?“ Dosłyszeli, śmiech powstał, że młoda żona zazdrosna, tęsknić będzie i inne dowcipy. Szepnęłam mu o powodzie właściwym mej prośby. Obruszył się, mało nie wybuchnął, niezmiernie był w takim stanie drażliwy.

„Co ci do głowy strzeliło? Oszalałaś chyba!“ Zamilkłam, musiałam ustąpić. Zbyt byłam ambitna, zbyt skryta, aby rodzinie się zwierzyć, prosić o niedopuszczenie męża do kierownicy. Co było dalej, panu już wiadomo...

— Ręczę pani raz jeszcze, że najtrzeźwiejszym ludziom wypadek zdarzyć się może...

— Może, ale nie — musi! Ja to wiedziałam wtedy, gdy taksówka zniknęła za rogiem ulicy. Wybiegłam przed bramę za późno. W pierwszym odruchu chciałam wziąć inną, gonić męża, wyznać prawdę, znieść swoje upokorzenie i jego wymówki.

Młoda byłam, odwagi mi zabrakło, wróciłam do domu. Te parę godzin... Z rąk mi wszystko leciało. Henryś mały płakał zdziwiony mą dla niego szorstkością, wkońcu i ja płaczem wybuchłam. Ulżyło trochę...

Przewidywania, te najgorsze, straciły nieco na sile. Mogłam pójść składać z praczką bieliznę...

W gorącu kuchni znowu mnie chwycił lęk nagły. Rzuciłam się przez pokoje ku schodom frontowym, choć nie wzywał tam żaden dzwonek, otworzyłam drzwi i... zobaczyłam ludzi, którzy już na pół piętrze zawracali z ciałem... mego męża! Żył jeszcze, gorzej to może było nawet dla mnie. Męczył się tak strasznie, a ja za jego męczarnie robiłam sobie wyrzuty, ja czułam się winną, że swoją małodusznością na śmierć go naraziłam... Pan rozumie...

— Znałem go dobrze, jako mego kolegę i wiem, że wyjątkowo na działanie alkoholu był odporny. Ten śliski wiraż...

— Wiraż... Wszyscy to mówili... że tak być musiało. Ja — milczałam wówczas, o mych podejrzeniach nie wspominałam nikomu. Oszalałabym, gdyby ktoś wyrzuty mego sumienia uznał za słuszne.

A ta śmierć druga, śmierć szofera, nawet nie obeszła mnie wtedy, nie zdolna byłam jej odczuć poprzez ból własny. A potem... Boże, jakie to było straszne! Starałam się o ile możności pomóc biednej rodzinie i ludzie chwalili moją dobroć, dziwili jej się nawet z pewnem zgorszeniem, jako, że w ten sposób uszczuplałam kapitalik mego sieroty. Gdyby wiedzieli...

— Nie potępiliby pani!

— Kto?! Rodzina zabitego szofera, czy świat cały? Świat ma pan chyba na myśli. On — będzie pobłażał winom, wynikającym z jego usto-

sunkowania do nałogu. On — wiele rzeczy usprawiedliwi, aby tem większe zyskać dla siebie przywileje! Gdyby patrzono na pijaństwo, jak na chorobę, którą tępić należy, ale której lekceważyć, ani wyszydzać nie wolno, Heniek miałby dziś ojca, a ja nie drżałabym o syna...

— Niechże się tak pani jego piciem nie przejmuje! Któż w fabryce tego nie robi...

— Właśnie! To bagatelizowanie zjawisk masowych. Czyż przejmować się można każdym spotkanym na ulicy pogrzebem? — Nie! Lecz śmierć jest czemś koniecznem, a dobrowolne masowe zatruwanie — czynem przeciwnym naturze... Zresztą Heniek, jako monter, i na niebezpieczeństwo życia w dodatku bywa narażony, jeżeli zupełnie trzeźwy nie jest w zajęciu. Te maszyny... Boże, już pierwsza, chłopiec niedługo nadejdzie! Tak się boję dzisiejszego z nim spotkania...

— To państwo jeszcze nie widzieli się rano? Zwykle pani szykuje mu drugie śniadanie...

— Źle się czując, wstaję czasem później i wtedy robi to Antośka. A dzisiaj... — zawahała się chwilę, odwracając zaczerwienione oczy. — Wie pan? Trzecie już tutaj obchodzę imieniny. Przed pierwszemi podpytywał mnie delikatnie, cobym też sobie życzyć mogła. Wtedy mu dałam do zrozumienia, że najpiękniejszym dla mnie podarunkiem — byłaby obietnica jego abstynencji.

— Jak to przyjął?

— żartem, naturalnie! Wszak to jest najłatwiejsze. W imieniny dostałam kwiaty, ciepły materjał na suknię i pocałunki, w których wyczułam urazę za niedocenianie serca syna. Chcąc zatrzeć to wrażenie, udawałam zachwyconą jego dobrocią, wychwalałam ją przed gośćmi, ale panował jakiś chłód między nami. Gdyby był nałogowcem, spełnienie mej prośby wielką dla niego stałoby się przykrością, lecz do tego jeszcze nie doszło. A później i wpływ mój nie pomoże... Zeszłe imieniny... Nie chciał już poznawać mych życzeń i ja grałam rolę zadowolonej, mając pełno łez w gardle.

I dzisiaj rano, obudziwszy się, z przerażeniem pomyślałam o dniu mnie czekającym. O serdeczności syna, którą będzie się starał rozpędzić me przygnębienie... Leżałam dłużej w łóżku, by odwlec chwilę spotkania z Heńkiem, gdy usłyszałam ciche kroki. Szedł do mnie. Zamknęłam oczy, udając śpiącą.

Szelest jakiegoś papieru. Boże! znów prezent... Zacisnęłam mocno powieki, aby powstrzymać łzy... Stał chwilę przy mnie, poczem odszedł ostrożnie. Poczułam wtedy, że mam twarz mokrą. Może to później się stało, może on tego nie zauważył. Miałby żal do matki znowu...

— Spotkałem go dzisiaj rano, proszę pani. Bardzo był pogodny, jakiś uroczysty, wspominał o pięknym dla mameczki podarunku. Dlatego mówiłem przedtem, że syn coś przyjemnego szykuje...

— Znowu... zawsze to samo... Pan wie teraz, dlaczego rozpłakałam się na te słowa. Jedna rzecz na myśl mi przychodzi. Przed paru dniami patrzeliśmy na wystawę kuśnierską i zwrócił moją uwagę śliczny kołnierz bobrowy. Wskazałam go synowi, pewnie „to“ mnie czeka od niego. Nawet już łudzić się nie mogę... .O, Boże! dzwonek... Ależ, niech pan nie wstaje, wolę gdy dzisiaj będzie z nami ktoś trzeci...

— Zostanę, tylko idę drzwi otworzyć. Służąca jakoś nie wychodzi. Proszę być spokojną...

Pani Sieniczowa patrzy z lękiem w stronę przedpokoju. Nieznośne, dokuczliwe chwile konwencjonalnych czułości! Znowu odgrywać ma zadowolenie...

— A, pan Obierski! — dochodzi ją głos Heńka — Jaki pan dobry, że o nas nie zapomniał! Mama tak pana lubi.

Już się rozebrał, wchodzi teraz do pokoju... Matka utkwiła wzrok w podłodze. Zdradzieckie ślady płaczu wydadzą jej smutek przed synem...

— Dzień dobry mameczce! Co to, dlaczego mama oczy spuszczone trzyma? — Wysoki chłopiec zbliża się do siedzącej kobiety. Mocne ramiona obejmują Sieniczową, do ręki pochyla się ciemna głowa. — Życzę mameczce, ,aby syn nigdy jej nie sprawił zmartwienia — szepcze Heniek — a w dowód szczerości tych życzeń, przyniosłem coś dawno upragnionego...

Pani Sieniczowa rozgląda się z lękiem po stole. Może tam leży jakaś paczka, bo Heniek ręce ma puste. Pytające spojrzenie...

— Czyżby?... — dalsze słowa tłumi obawa.

— Właśnie, zgadła mameczka! To — przyrzeczenie... od niedobrego chłopca... No, czy mama zadowolona?

— Zrobiłeś mi wielką... — drżące dłonie ściskają głowę syna — zrobiłeś mi, synku, najpiękniejszy w świecie podarunek. Niech cię Bóg za to... błogosławi...

Roma Luxówna.

NAUCZYCIEL I ZAGADNIENIE ALKOHOLIZMU W SZKOLE.

Drukowana w „Trzeźwości", praca p. Dyrektora *Kazimierza Hrabina* p. t. „Narkomanje w Szkole", ukazała się obecnie w wydaniu osobnem. (Z zasiłku Minist. Opieki Społecznej). Broszura została poprzedzona przedmową Doc. Dr. Gustawa Szulca, Dyrektora Państwowego Zakładu Higjeny w Warszawie. Krótka ta przedmowa tak świetnie ujmuje sprawę udziału nauczycielstwa w walce z alkoholizmem, że za pozwoleniem Szanownego Autora — podajemy ją tu w całości. (*Red.*)

Podczas egzaminu z higjeny zadałem pewnej kandydatce do zawodu nauczycielskiego następujące pytanie:

— „Jakich argumentów pani użyje, chcąc przekonać dzieci o konieczności walki z alkoholizmem"?

Otrzymałem odpowiedź, która napełniła mnie głębokim smutkiem i której oczywiście nie mogłem uznać za wystarczający dowód przygotowania kandydatki do przyszłej roli.

— „Będę mówiła dzieciom na pogadankach, że zbyt duże używanie alkoholu może przynieść poważną szkodę dla zdrowia, i może się odbić nawet na zdrowiu przyszłego pokolenia".

— „A jaką ilość pani uważa za niezbyt dużą?"

Krótkie milczenie, później niepewnym głosem:

— „Czy ja wiem, może jeden kieliszek dziennie, to chyba nie jest za dużo?"

— „Czy i dzieciom pozwalałaby pani pić jeden kieliszek dziennie?“

— „No nie, dzieci, a *zwłaszcza małe* — zupełnie nie powinny pić“.

Wydaje mi się zbyteczny wszelki komentarz do tej rozmowy. Nawet przeciwnika energicznej akcji przeciwalkoholowej ta rozmowa musi wstrząsnąć do głębi. Jakież to kolosalne niebezpieczeństwo wisi nad społeczeństwem, w którem nauczyciel i nauczycielka nie posiadają dostatecznie silnych argumentów, żeby wpoić w dziecko odrazę do trucizny fizycznej i moralnej. Któż zdoła naprawić dziecku tę krzywdę, jaką wyrządza mu taki wychowawca i taka wychowawczyni? Dlatego ze szczególnie wielką radością przeczytałem ten referat, zawierający niezmiernie cenne argumenty, poparte wymową cyfr strasznych, wołających na alarm. Ten głos nauczyciela do nauczycieli powinien się rozejść, jak Polska długa i szeroka. Każdy nauczyciel i nauczycielka musi zapoznać się z tą książeczką i niech książeczka ta, nacechowana wiarą i entuzjazmem, służy nieustannie naszemu nauczycielstwu w jego pracy.

Docent Dr. Gustaw Szulc.

P O P I E L I S K O.

Powieść.

(ciąg dalszy)

Tak też uczynił i teraz. Na myśl, że stanie przed Anką, a ona czytać będzie w jego twarzy — i może doczyta się prawdy, opuściła go odwaga. W tym dopiero momencie spojrzał na całą sprawę z właściwej strony i przeraził się. Myśl o niebezpieczeństwie przeszyła mózg ostro, jak strzała, żłobiła dreszczem lęku całe ciało i zapadała kamieniem głęboko w sercu, przyśpieszając tętno. Wszystko to trwało sekundy, lecz przerażało, jak oblicze śmierci. Jakże wiele dałby za to, aby wykreślić z życia ostatnie pół godziny. Niestety, droga była zamknięta, należało więc przynajmniej o wszystkiem zapomnieć. Rozumiał, że z poza mgły alkoholu nie widać niebezpieczeństwa; niejednokrotnie już tego na sobie doświadczał. Nie obchodziło go wtedy, co będzie potem; następował pozorny spokój.

Teraz właśnie, bardziej, niż kiedykolwiek, dręczyło go poczucie rzeczywistości.

— Jedźmy prędzej, — zawołał na szofera.

Auto, jakby na złość, zatrzymało się przy zbiegu ulic. Policjant stał i wyciągniętą ręką zdawał się grozić.

— Boże, pomyślał Włodek, przecież za to, co zrobiłem, idzie się do więzienia!

W przebłysku rozsądku rozumiał jasno, że jedyna rada, to powrót po drodze, którą dobrowolnie zniszczył, powrót ciężki, bez złudzeń, usiany mozołem, i pełen świadomości, że odpowiada się za każdy czyn.

Niestety, nie stać go było na taką wędrówkę. Nawet teraz, w tej chwili najłatwiej było siedzieć w aucie; dlatego też bez trudu stłumił w sobie chęć uczynienia pierwszego kroku wstecz — zanurzenia się w tłum uliczny, aby iść w stronę domu. Samochód sunął dalej cicho,

bez wstrząsów, aż wreszcie zatrzymał się. Włodek wysiadł i zapłacił. Stał teraz przed jasno oświetlonym lokalem i zastanawiał się: wejść, czy zawrócić. Wtem kilka osób wtargnęło wesoło do wnętrza. Przez otwarte drzwi zabrzęczała hałaśliwie muzyka, wionęło zapachem jadła i alkoholu. Zdecydowanym ruchem wszedł do środka, owładnięty jedynem pragnieniem: upić się i zapomnieć, unicestwić świadomość choćby na kilka godzin!

. . . .

Tego dnia Anka nie miała żadnych złych przeczuć. Włodek nie wrócił wprawdzie na obiad, lecz zdarzało się to tak często, że zdążyła się przyzwyczaić. Nie przerażały ją również samotnie spędzane godziny; zawsze miała wokoło siebie dość różnorodnych zajęć. Tyle jest na świecie ciekawych zainteresowań, a każdy dom to dla kobiety maluchny świat. Mężczyźni traktują go najczęściej, jako wygodną przystań — i tu, być może, tkwi źródło wielu niepowodzeń.

Myślała właśnie nad tem, schylona nad robotą. Od wielu już tygodni pokrywała cienkie płótno misternym haftem, według starego wzoru, który przetrwał kilka pokoleń. Był to obrus, przeznaczony dla Marty na prezent ślubny. Wkładała w tę robotę jakąś tajoną pasję, nieuchwytny niepokój przed każdem jutrem, które nie zmieniało nic na lepsze, to chyba, że stawało się i odchodziło, jako „wczoraj".

Spojrzała na zegar. Było już po północy.

— Dlaczego nie wraca, myślała, czy nie tkwi w tem jaka zła tajemnica?

Nie o takim kiedyś marzyła domu. Miał być oparty na zaufaniu, opromieniony uśmiechem i pełen miłości. Przebiegała w pamięci minione lata, usiłując zrobić rachunek sumienia i odnaleźć w sobie jakieś winy, które kładłyby się w poprzek drogi ku szczęściu. Naprożno. Włodek!... Był przecież czas, że tylokrotnie w pamięci powtarzane imię stało się synonimem wszystkiego, co najlepsze. Ile razy zbierały się przeciw niemu urazy, czy żale, przywoływała w pamięci tego dawnego chłopca, którego przed laty pokochała. Teraz im bardziej odbiegał od ideału, z tym większym uporem wtłaczała go w ramy dawnego wzoru. Rozumiała, że na tem właściwie oparte jest całe uczucie, bo kocha w nim to, co jej tego dawnego Włodka przypomina.

Powoli milkły odgłosy w podwórku. Oczekiwała z niepokojem, aż przekręci się klucz w zamku, jako znak, że wreszcie powrócił. Wsłuchiwała się w ciszę, przerywaną od czasu do czasu dźwiękiem odległego dzwonka. Wtedy mocniej uderzało serce. Potem nieodmiennie brzęczał pęk kluczy i głucho zatrzaskiwała się brama. Łowiła uchem najlżejszy odgłos kroków, chcąc rozpoznać tak dobrze jej znane. Trwało to długo, aż wreszcie, zziębnięta, podeszła do pieca i oparła się o jego ciepłe kafle. Za ścianą wybiła trzecia. Wpatrzona w przeciwległe drzwi, któremi miał nadejść, postanowiła tak czekać choćby do rana.

Wreszcie w wyczulone ucho wpadł delikatny chrobot klucza; niepewna ręka błądziła nieporadnie i cicho skrzypnęła klamka. Po chwili z niebywałym rozmachem otworzył drzwi do pokoju, aż huknęły o ścianę. On sam zatoczył się na nie, z trudem zachowując jaką taką równowagę.

Anka, jak urzeczona, śledziła każdy ruch z przerażeniem. Tyle razy widziała na ulicy pijanego mężczyznę, lecz to, na co teraz patrzyła, nie dało się z niczem porównać. Myśl, że był na ulicy pośmiewiskiem, szarpnęła jej sercem. Przejmowała ją odrazą zarówno twarz, tępa i bezmyślna, jak i pomięte, ubielone ubranie. Wydało jej się, że go nienawidzi. Padały teraz kamieniem wszystkie dobre chęci, najlepsze projekty obracały się w niwecz. Stała tak w bezruchu, bojąc się najlżejszego z nim zetknięcia.

On zdawał się jej nie dostrzegać. Zamaszyście kolistymi ruchami chodził po całem mieszkaniu, zrzucając i przewracając napotkane drobiazgi i sprzęty. Wreszcie, nawpół rozebrany, położył się do łóżka.

Wtedy dopiero odważyła się poruszyć. Bała się wszystkiego, a najbardziej swych własnych uczuć. Nie miała zresztą siły ich analizować; znużona do ostatnich granic, postanowiła się wreszcie położyć. Przedtem jednak sprawdziła, czy drzwi zamknięte i zajrzała do kuchni. Zaprowadził ją tam widocznie dobry instynkt, gdyż okazało się, że nie dokręcił kurka od gazu. Narazie nic się nie stało, dzięki temu, że przybyła w porę. Trzeba było jednak otworzyć okno i czekać, aż się wywietrzy. Krępowała się obudzić służącą, tembardziej, że zaczynało już świtać. Z westchnieniem pomyślała o tych paru zaledwie godzinach wypoczynku, jakie jej zostały.

Nazajutrz Włodek nie poszedł do zajęcia. Czuł się tak chory, że Anka wezwała lekarza. To odsunęło wszelkie rozmowy na dalszy plan. Był zresztą teraz pokorny i bezradny, jak małe dziecko. W ciągu pierwszych dni nie poruszali drażliwego tematu. Kiedy jednak pewnego wieczoru podawała mu lekarstwo, wziął ją delikatnie za rękę i powiedział:

— Nie gniewaj się. Już się to nigdy nie powtórzy...

Nie gniewała się. Gotowa była zapomnieć. Było to przecież jedyne wyjście. Nie wyobrażała sobie życia bez niego; gdyby go straciła, świat wydawałby się pusty. Teraz dopiero zaczynała rozumieć, że życie pod wspólnym dachem w ciągu tylu lat powiązało ich dwa istnienia tysiącem drobnych węzłów. Jakiejż siły trzeba, by to wszystko porzywać!

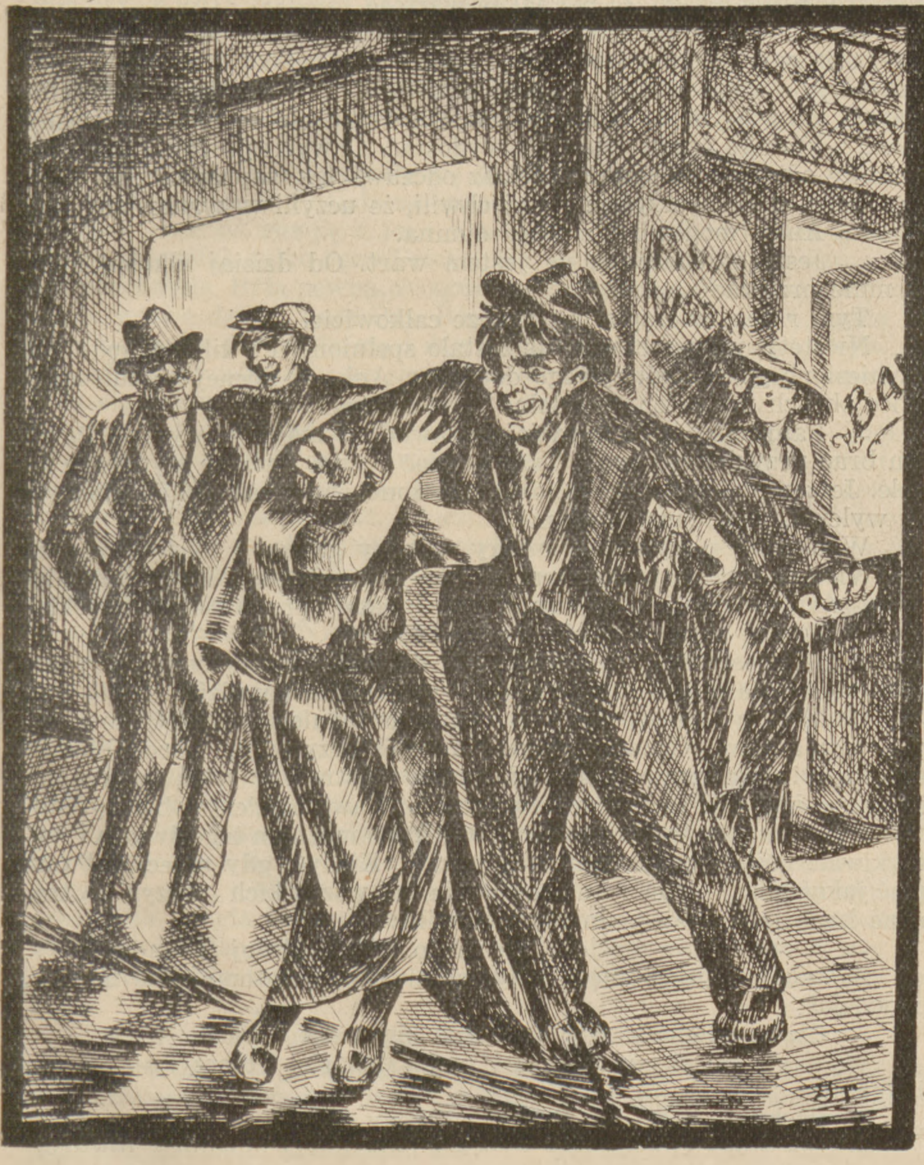
A jednak gdyby przyszło patrzeć, jak sam dobrowolnie zatraca w sobie cechy człowieczeństwa, jak gubi się w nim i prawość i zdrowy rozsądek, byłoby to nie do zniesienia.

— Jeśli będziesz pił, — rzekła wolno i z rozmysłem, — dojdzie do rozstania, a to będzie straszne, gdyż ciebie jednego mam na świecie...

Wcale się jej powiedzeniem nie przejął. Przedewszystkiem był pewien, że się już nigdy nie upije. Rozstanie z Anką uważał za absurd; miał mocne, ugruntowane przeświadczenie, że ona w żadnym razie nie potrafiłaby tego uczynić.

— Kobieta buntuje się w małżeństwie, — powiedział, — lecz zawsze do niego powraca. Chodzi jej albo o pieniądze, lub boi się poprostu samotności. A przytem ty, wychowana w dawnych starych zasadach, napewno nie umiałabyś utrzymać się na powierzchni, poza progiem swego domu.

— Tak, masz słuszność; jestem kobietą nawskroś niewspółczesną. Nie marzy mi się swoboda bez ograniczeń, czy niezależność na sze-



Gniew alkoholika. *Jerzy Tański.*

roką skalę, lecz rozumiem jedno: trzeba uczciwie pracować. Nie wiem, ile które z nas zjada czyjego chleba; dzisiaj pracujemy wspólnie, ale, gdy mnie los zmusi, że pójdę sama, potrafię nietylko nie utonąć, lecz i nie uronić nic z tego, co ma jakąś wartość.

Zastanowił się nad jednem: jakże daleko już był od tej drogi, po której szła ona. „Uczciwa praca“ i „uczciwy człowiek“, wszystko to odsunęło się od niego daleko. Zostało gdzieś na szerokim jasnym gościńcu życia, na którym mozolili się inni. On wszedł dobrowolnie w ciasny zaułek, z którego trudno się było wydostać. Chwycił go żal. Jak dziecko, które odbiegło starszych, a teraz odczuwa lęk, zapragnął zawrócić. Przyrzekał sobie uroczyście w tej chwili, że uczyni wszystko, aby kiedyś ona, Anka, mogła być z niego dumna.

— Jeszcze zobaczysz, ile jestem wart. Od dzisiaj alkohol może dla mnie przestać istnieć.

Tym razem wierzyła mu jeszcze całkowicie.

Niestety, przyrzeczenie nie zostało spełnione. Po kilku tygodniach przyniesiono go nawpół żywego do domu. Anka w nocnej koszuli stała wobec obcych mężczyzn, niezdolna zebrać myśli.

— Pani musi męża bardziej pilnować, — mówił któryś. — Powinien brać przykład ze mnie. Trzeba mieć rozum i umieć wypić nie za wiele. Jeszcze dzisiaj mam iść do narzeczonej, więc jak już nie mogłem pić, wylewałem w chustkę do nosa.

Wyciągnął z tryumfem mokry, brudny gałgan i nachylił się ku niej. Wionęło wstrętnym odorem i Anka odsunęła się gwałtownie, zdając sobie sprawę, że jest pijany. Teraz dopiero oprzytomniała i rzekła:

— Proszę się natychmiast wynosić!

Wyszli posłusznie, lecz został on, Włodek, nieprzytomny, ohydny, żywe uosobienie niedoli, z którą sobie nie umiała poradzić.

Co kilka tygodni powtarzało się nieodmiennie to samo, tylko z różnymi warjantami. Czasami wracał nawpół przytomny wśród białego dnia, kiedyindziej zjawiał się nad ranem, z futrem w ręku, postrzępionem ubraniem, lub rozkrwawioną twarzą. Dawniej cichy i bierny, stawał się teraz agresywny i pełen buntu. Groził możnym tego świata i wykrzykiwał: „Niech żyje Lenin i Trocki!“. Kiedyś, gdy obiecywał rozpętać jakąś bliżej nienazwaną rewolucję, bić wszystkich i wszystko, tratować i zabijać, Anka podniecona rzuciła:

— A czy i mnie zabijesz? Uczyń to, bo już dłużej nie mogę!

Zastanowił się chwilę i, kołysząc się wpółprzytomnie na nogach, powiedział:

— Ciebie? ciebie... nie! Ja ciebie nigdy nie obrażę...

Wybiegła do swego pokoju i rozpłakała się. Potoczył się za nią i bełkotał:

— Czekaj... słabo ci? Przyniosę wody...

Minęła długa chwila, gdy wrócił z napełnioną miednicą. Rozbryzgując po drodze, usiłował wylać na Ankę zawartość. Usunęła się i woda rozlała się po posadzce.

Zawsze milcząca, tym razem nie umiała zapanować nad nerwami:

— Wynoś się w tej chwili, — wołała, idąc mu naprzeciw.

Cofał się posłusznie do swego pokoju, lecz w chwili, gdy zamykała drzwi, runął plackiem, wciskając głowę między framugę.

Anka zwykle w te ciężkie wieczory i noce zmuszona była do czuwania. Odpoczywała dopiero w tym momencie, gdy się położył. Nie podobna było zostawić go samego, gdyż zagrażało to niekiedy całej kamienicy. Kiedyś podpalił papierosem pościel, to znów odkręcił gaz, czy wodę, wreszcie narozcież otworzył drzwi wejściowe.

Owo towarzyszenie w milczeniu każdemu jego ruchowi, wszystkim odruchom, pozbawionym najczęściej sensu, doprowadzały ją do stanu takiego podniecenia, że chwilami nie panowała nad nerwami i gotowa była do szaleństw.

Teraz właśnie rozpętała się w niej taka złość i żal, że nie mogła na Włodka patrzeć. Chciała za wszelką cenę zamknąć się w pokoju i zapomnieć choć na chwilę o jego istnieniu. Pchała drzwi mocno, lecz on głowy nie cofał, tylko jęczał cicho. Na szczęście coś zgrzytnęło i Anka oprzytomniała. Była pewna, że zgniotła mu czaszkę. Wpatrzyła się, oniemiała w swe dzieło. Lecz Pan Bóg widocznie czuwał, gdyż leżąca bezwładnie bryła poruszyła się i dźwignęła powoli. Anka odetchnęła. Gdy odszedł, kiedy usłyszała, że się wreszcie położył, upadła na kolana i modliła się długo, prosząc o zmiłowanie i ratunek.

Zwykle po każdem upiciu następowało kilka tygodni spokoju. W ciągu pierwszych wieczorów z bijącem sercem czekała katastrofy. Kiedy jednak zapewniał ją, że to już koniec niedoli, uspokajała się wreszcie. Wierzyła, że nikt, logicznie myślący, nie będzie się dobrowolnie narażał na upokorzenia i przykrości, jakie niejednokrotnie przeżywał. Nigdy nie obeszło się bez tego, aby pijaństwu nie towarzyszyły dalsze niepowodzenia: to gubił cudze pieniądze, czy weksle, własne palto, lub papierośnicę. Niejednokrotnie miewał zatargi z policją, a kiedyś się zdarzyło, że przepędził noc w komisarjacie. O ile się tylko udało, krył przed Anką prawdę. Coraz częściej jednak musiał się do niej zwracać o pieniądze, gdy wszystkie inne źródła zawiodły i groziło katastrofą.

Kiedyś szukała w bieliźniarce ważnych dokumentów. Leżały tam oddawna, obok szkatułki z cennymi drobiazgami. Nie było w niej biżuterji, prócz jednego jedynego pierścionka, jaki od niego dostała. Było to po powrocie z Zakopanego. Wyjął go odniechcenia z kieszonki i, wkładając na palec, obiecał być dobrym mężem. Nie nosiła upominku; poprostu nie mogła się do niego przyzwyczaić. Leżał na dnie szkatułki, wkładany rzadko kiedy.

Otworzyła machinalnie wieczko i spostrzegła, że szkatułka jest pusta.

Włodek leżał już w łóżku. Zdawał się żonę obserwować.

— Wiesz, — powiedziała, — mogłabym przysiąc, że położyłam tu pierścionek... Trudno nawet pomyśleć, by mogła go wziąć służąca. Taka zawsze była uczciwa. A jednak, oprócz niej i nas, nikogo w domu nie było...

— Może się znajdzie, — rzekł wymijająco; — a jeśli nie, to nie żałuj. Przez złe widocznie przeszedł ręce...

— Ręce złodzieja są zawsze złe.

Odwrócił się na te słowa do ściany. Miał swoje powody do niezadowolenia. Przypomniała mu się przytem doktorowa. Ileż nieszczęść jej

zawdzięczał. Wszystko, czego się dotknęła, znaczyła piętnem zła: i ten przeklęty pierścionek i jego samego potrafiła zepchnąć w błoto.

Po paru dniach znów wrócił do domu pijany. Rano, jeszcze niezupełnie trzeźwy, porwał się z łóżka i, ubrawszy się szybko, wybiegł na miasto, szukać jakichś ważnych papierów, które poprzedniego dnia niewiadomo gdzie zostawił.

Anka podniosła się z trudem. Zaczerwienione od niewyspania oczy, ból głowy i uczucie dojmującego smutku — były to zwykłe następstwa każdego tragicznego wieczoru.

Weszła do Włodka pokoju. Wyglądał w takich razach, jak pobojowisko. Na podłodze, wśród różnorodnych śmieci i niedopałków papierosów, poniewierał się portfel, a obok porozrzucana jego zawartość. W pośpiechu, musiał tego nie dostrzec. Schyliła się, a zbierając papierki i świstki, wkładała je na miejsce, obojętna na treść. Uważała ją za cudzą własność. Wtem zwrócił jej uwagę kwit lombardowy. Nie mógł być chyba żadną tajemnicą. Rozwinęła go powoli i przeczytała: „Męski złoty zegarek i damski pierścionek z brylantem".

Była poruszona do żywego. Jakto, więc doszło do tego? pozwolił, aby szukała napróżno? Nie zaoponował, kiedy posądziła służącą. Więc ją okrada i okłamuje. Postanowiła go upokorzyć. Jeszcze tego samego dnia wykupiła obydwa przedmioty; pierścionek włożyła na palec, a zegarek położyła mu koło łóżka.

Kiedy, wróciwszy, spostrzegł to, nie odezwał się ani słowem. Ona też nie miała odwagi rozpoczynać drażliwego tematu. Rosła tylko wzajemna niechęć, panoszył się żal.

Anka żyła obecnie ciągle, jak w gorączce. Nie ufała mu, ani wierzyła, przekonawszy się, jak często mówi nieprawdę, a nawet sobie nie umie dotrzymać danego słowa. Mimo to jeszcze i teraz chwilami miała nadzieję, że wszystko się zmieni. Nie mogło jej się w głowie pomieścić, jak można pić, wiedząc o skutkach. Zastanawiało ją również jedno: dlaczego pije. Rozumowała słusznie, że nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny. Była pewna, że gdyby ową przyczynę udało się odnaleźć i usunąć, zniknęłyby oczywiście opłakane skutki.

— Powiedz mi, — mówiła kiedyś, — dlaczego pijesz. Może potrafię złemu zaradzić. Jeśli przyczyną są zmartwienia, powinnam je z tobą dzielić.

Lecz on milczał, lub zbywał ją zdawkowem powiedzeniem, dodając zwykle, że pić już więcej nie będzie.

Namawiała go również niejednokrotnie, aby poszedł do doktora. On jednak twierdził uparcie, że to tylko niepomyślne zbiegi okoliczności, które się więcej nie powtórzą i doktór nie ma tu nic do roboty.

Zdarzyło się tak kiedyś, że w ciągu kilku dni z rzędu wracał do domu pijany. Był to czwarty z kolei wieczór i Anka traciła już siły. Przyszedł nawet niezbyt późno do domu. Usiadł przy piecu, otworzył drzwiczki i palił papierosa. Widać było, że niezupełnie jest przytomny, mimo iż pozornie spełniał wszystkie czynności prawidłowo.

Nie miała zwyczaju wdawać się w dysputy z pijanym. Tym razem jednak zastanowił ją niezwykły wyraz jego twarzy. Czerwony refleks, jaki szedł z otwartych drzwiczek pieca, nadawał jej tragiczne piętno. Podeszła ku niemu i położyła rękę na głowie.

Wzdrygnął się i ukrył twarz w dłoniach.

— Co ci jest? — zapytała cicho.

— Dzisiaj jest sobota, — powiedział, — czy tak? Jutro do jedenastej muszę sobie palnąć w łeb!

— Czy ty rozumiesz, co mówisz?

— O tak, rozumiem doskonale! Jutro jest rewizja kasy, wszystko się przeciw mnie sprzysięgło, jutro musi być koniec i niema ratunku!

Nie cofnęła ręki, całą siłą usiłując pohamować jej drżenie. On tymczasem w nawpół przytomnym mózgu nie znajdował żadnego ratunku. Podniecony alkoholem, pragnął się przed kimś użalić. Wszystkie tajone troski wezbrały w nim długo wstrzymywaną falą i teraz bezładne, splątane, runęły na Ankę potokiem druzgocących zwierzeń:

— Bo widzisz — mówił — to ona wszystkiemu winna, ta przeklęta kobieta. Wszystkiego jej było mało: i biżuterje, i suknie i wyjazdy...

— O kim mówisz?

— Ty nie wiesz! Doktorowa. Spotkałem ją kiedyś w tramwaju, a potem dwa lata to trwało... Dwa lata trosk materjalnych, choroby, gonitwy za jej kaprysem... Stamtąd się wiodą wszystkie niedole. Co nie umiała wydobyć na trzeźwo, brała po pijanemu...

... Nigdy nie umiałem liczyć pieniędzy... Nie orjentowałem się, że tyle mam długów, aż potem znalazł się drugi zły duch tam w biurze... Codzień z nim piłem i codzień więcej mi brakowało pieniędzy... Aż kiedyś po pijanemu namówił... podskrobałem w księdze liczby, które wskazał... Potem trzeba mu było płacić, żeby milczał... rozumiesz?... żyć w ciągłej obawie, że może już jutro, już za godzinę czyha katastrofa... Jedynym ratunkiem było picie... Zapomnieć... zapomnieć i teraz. Jeśli masz odrobinę litości, to dasz mi wódki... Jestem uchwycony w tryby jakiejś groźnej maszyny i niema sposobu się wyrwać...

Z chaosu splątanych myśli usiłowała coś nawierzch wydobyć, o coś rozumowaniem zahaczyć. Narazie się nie udawało.

Więc w ciągu dwuch lat zdradzał ją, nie przestając jednocześnie być jej mężem. Stłumiła w sobie wstręt.

— Nie o to teraz chodzi — myślała.

Miała coś ważniejszego do czynienia, niż zastanawiać się nad jego zdradą. Natężała całą siłę woli, aby nie zgubić logicznego wątku całej sprawy, którą jej powierzył.

— Czy dużo jesteś winien, — spytała.

Właściwie nie było to ważne. Bez względu na sumę, wiedziała, że będzie go ratować.

— Około dwunastu tysięcy...

— Jedynka, dwójka i trzy zera, — pomyślała szybko. Odtworzyła raz jeszcze wszystkie cyfry w pamięci, a uprzytomniwszy sobie, że ma w domu zaledwie dwa złote, przeraziła się.

Ale trwało to jeden moment. żeby tylko nie wyczytał lęku w jej twarzy! W następnej sekundzie była już opanowana całkowicie. Przysunęła się do niego blisko, położyła drugą rękę na głowie i rzekła:

— Możesz iść spokojnie spać. Ja ci to wszystko do jutra załatwię.

Patrzała mu badawczo w twarz i mówiła dalej:

— ...Dobrześ zrobił, żeś nareszcie powiedział prawdę. Teraz wiem, dlaczego piłeś. Usuniemy przyczynę i skończy się wszystko zło. Cóż znaczy kilkanaście tysięcy? Jesteśmy dość młodzi i silni, aby je zarobić.

Kiedy wreszcie, znużony przeżytemi wrażeniami, zasnął, Anka położyła się do łóżka i zaczęła wszystko rozważać na zimno. Nie miała pojęcia, skąd tak olbrzymią sumę zdobędzie. Nie znała żadnego lichwiarza, a zresztą było wątpliwe, czy znalazłby się człowiek, który tyle pieniędzy dałby bez zabezpieczenia majątkowego. Zostawała więc jedyna droga: zażegnać narazie niebezpieczeństwo, a potem starać się o pieniądze.

Po nieprzespanej nocy, wstała rano z łóżka, ubrała się i wyszła na ulicę. Wstąpiła do najbliższej cukierni i zaczęła gorączkowo szukać w telefonicznej książce. Wreszcie odetchnęła z ulgą. Odnalazła. Powtórzyła sobie kilkakrotnie: Neuthal Jerzy, Aleje Ujazdowskie 32, mieszkanie prywatne. Obok był adres biura. Mimo, iż Włodek pracował tam od kilku lat, nigdy nie była w biurze. Teraz powzięła rozpaczliwą myśl, aby pójść do prywatnego mieszkania dyrektora. Nie było innego sposobu, a jednak na samą myśl o tej wizycie, wszystko się w niej zaciskało z lęku, biło pulsami w skroniach.

Nie wiedziała tylko, jaką wybrać godzinę. Przed jedenastą wszystko miało być załatwione i nie można było nic ryzykować. M u s i a ł a go zastać, tego obcego człowieka i przyjąć wszystko, cokolwiek jej powie. Szła wolno przez ulice, usiłując odgadnąć, co ją za chwilę czeka. Nie wiedziała nic o panu Jerzym Neuthalu, do którego szła się upokorzyć. Nie miała pojęcia, czy ma żonę, dzieci, służbę, czy mieszka w kawalerskim mieszkaniu. Rozumiała jedno, że trzeba się z nim zobaczyć.

Kiedy stanęła przed drzwiami, była dopiero ósma. Długo wahała się, czy ma nacisnąć dzwonek. Zaledwie go dotknęła, zadźwięczał jej przerażeniem w mózgu i odbił się echem po obszernej klatce schodowej.

Cisza, jaka potem nastąpiła, zdawała się trwać wieki. Wreszcie odległe kroki stały się bliskie, zachrobotały klucze i uchyliły się drzwi. Na szczęście nie służąca! W drzwiach stał nawpół ubrany mężczyzna.

— Czem mogę pani służyć?

— Jestem Toczewska. Mam do pana Jerzego Neuthala ważny interes.

Drzwi się otwarły szerzej i Anka weszła. Po chwili siedziała sama w gabinecie. Ten moment samotności starała się wykorzystać na opanowanie.

Jerzy Neuthal prowadził sam swoje biuro techniczne. W ciągu ostatnich lat przeżywał kolejno okresy dobrobytu i niebywałych wysiłków, aby uchronić firmę od ruiny. Ponieważ należał do wytrwałych, którzy się losowi nie dają, potrafił wreszcie pokonać trudności. Teraz był pewien, że może się o przyszłość nie lękać. W najtrudniejszym momencie, kiedy brak pieniędzy groził ruiną, musiał wziąć wspólnika. Dziś właśnie miały się odbyć rozrachunki. Zależało, aby tamten znalazł wszystko w porządku.

Pochłonięty myślami o biurze, nie zastanawiał się specjalnie nad

tem, co mu pani Toczewska powie. Pewno mąż zachorował i chce pożyczyć pieniędzy, przebiegło mu przez myśl w momencie, gdy w narzuconej pośpiesznie bonżurce wchodził do gabinetu.

— Co panią do mnie sprowadza?

Siedział teraz naprzeciw. Przeszkadzało jej to. Wolała, żeby na nią nie patrzył. Zdobyła się jednak na wysiłek i powiedziała cicho:

— Przyszłam powiedzieć, że mąż mój nadużył pana zaufania. I kasa, i książki nie są w porządku...

Podparł się dłońmi o biurko i zapanowało milczenie. Wreszcie rzucił:

— Czy duża suma?

— Niestety, tysiące. Nie wiem, gdzie winien i komu. Dowiedziałam się dopiero wczoraj wieczorem. Sam mi powiedział. W książkach są ukryte niedokładności, a dziś o jedenastej...

Poruszył się gwałtownie:

— Tak, komisja nie może dzisiaj obradować! Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej. W ostatniej chwili trudno będzie odwołać. Pomyślą, że mnie na tem specjalnie zależy... No, ale niema innego wyjścia...

Teraz ona skolei ukryła twarz w dłoniach. Ileż wysiłku trzeba było, żeby o tych strasznych sprawach rozmawiać! Słuchała bezmyślnie telefonicznych rozmów, jakie prowadził, oszołomiona, z wypiekami upokorzenia na policzkach.

Skończył. Anka przez chwilę mocowała się z myślami. Wiedziała, że o coś jeszcze należało zapytać, czegoś ważnego się dowiedzieć, lecz nie mogła sobie nic przypomnieć, ni skojarzyć. Rozpierzchło się wszystko w głowie, rozproszyło w bezładzie. Na biurku pod przyciskiem leżało sto złotych; utkwiła wzrok w kolorowym papierku i nagle sobie przypomniała:

— Nie mamy w tej chwili pieniędzy, żeby dług uregulować, ale...

Nie pozwolił skończyć:

— Ja to jutro, proszę pani, rozpatrzę, załatwię i postaram się uregulować.

— A on?... Czy będzie panu nadal potrzebny?

— Oczywiście. Ani na moment nie myślałem inaczej. Przyznaję, że zaskoczyło mnie to wszystko. Jak mógł w najtrudniejszym dla mnie okresie tak gospodarować! Czy wie pani, iż był moment, kiedy znajdowałem się blisko ruiny?

Milczała. Zapanowała chwila przykrej ciszy. Bębnił nerwowo palcami o biurko, wreszcie, opanowawszy podniecenie, odezwał się łagodnie:

— Proszę mi darować pytanie, ale czy pani swego męża kocha?

— Kochałam... Chciałabym móc kochać i nadal...

— Proszę się więc już nie martwić. On pije; musi od dzisiaj przestać. Różnie się życie układa. Niekiedy jedno pochylenie wytrąca człowieka z równowagi. Mąż pani jest zdolny i młody; dopomożemy mu obydwoje. Może trochę w tem wszystkiem i mojej winy... zamało go kontrolowałem. Cieszył się całkowitem zaufaniem.

Ostatnie zdanie zabolało ją, jak policzek.

— Proszę pana, — rzekła, — pensja mego męża nie będzie podejmowana, dokąd cały dług nie zostanie spłacony.

— Ułożymy to sobie jakoś wygodnie. Ostatniemi czasy byłem często w tarapatach pieniężnych, lecz teraz nie jest tak źle.

Wstała. On również podniósł się, chcąc ją wyprowadzić.

— Mam jeszcze jedną prośbę, — odezwała się cicho.

— Czegóżby chcieć mogła, — pomyślał. — Wszystko zdawało się być omówione.

— Uczynił pan dzisiaj wiele dobrego; proszę to jedno dorzucić i przyjść dziś do nas. W domu łatwiej będzie całą sprawę omówić...

Spojrzał życzliwie w jej stroskane oczy. W jego myślącej twarzy wyraził się podziw dla wielkiego uczucia, niosącego ofiarnie pomoc i ratunek. Był pewien, że miłość tej miary wyleczy, uzdrowi, odstraszy najtęższego wroga.

— Będę za godzinę — powiedział bez namysłu.

. . . .

Rozpoczął się okres niedostatku i wytężonej pracy. Należało poczynić jak najdalej idące oszczędności, a jednocześnie nie dać nikomu poznać, że zaszły jakiekolwiek zmiany. Było to tem trudniejsze, że miało trwać lata. Anka oddaliła służącą i pracowała wdwójnasób. Starała się jednocześnie, by Włodek nie odczuwał, w jakim stopniu brak jego pensji zaważył na całem ich gospodarstwie. Wyobrażała sobie, że bieda będzie go na każdym kroku upokarzać i przypominać tragiczne przeżycia, nie potrącała więc najlżejszem słówkiem o nic, coby mogło zadrasnąć, czy boleśnie dotknąć. Wierzyła, że alkohol był wszystkiego przyczyną, a piętrzące się niepowodzenia podsuwały mu kieliszek do ręki. Skoro złowrogi łańcuch został przerwany, można było wreszcie przestać się lękać. Teraz należało starać się usilnie, by Włodek nie stracił wiary w siebie; samopoczucie mocy moralnej uznała za najlepsze lekarstwo. Postanowiła traktować cały smutny okres, jako coś wyrzuconego za nawias, o czem się nawet nie pamięta. Jedno tylko było nie do przezwyciężenia. Oto chwile wzajemnych zbliżeń sprawiały niewysłowioną przykrość. Budziły się wtedy w pamięci wszystkie momenty jego upadków i poniżeń, prześladowały widziane tak często błędne, wpół przytomne oczy. Dotykały ją przecież te same ręce, co kiedyś w bezwładzie opierały się o bruk uliczny, całowały tylekroć skutkami pijaństwa splugawione usta. Z trudem hamowała odrazę, nie chcąc mu jej okazać. Uważała zresztą te wszystkie objawy za nienormalne i poprostu chorobliwe. Tak, kochała go bezsprzecznie. Wszystkie dążenia stapiały się w chęci niesienia mu pomocy. Kiedy jednak myślała o szczęściu, o pożyciu z mężczyzną, z którym wszystko jest drogie i najlepsze, wiedziała, że dla niej jest to nie do osiągnięcia. Bo można żyć pod jednym dachem, powiązać życie sprawami tego świata, a nawet wspólnie chować dzieci; lecz stawać się niewolnicą i czynić to z ochotą, — na to, prócz miłości, potrzebna jest wiara, że on, wybrany z pośród tłumu, nie zna upokorzeń, ni poniżenia.

Rzadko zresztą oddawała się podobnym rozmyślaniom. Czasu było tak mało, a tyle zewsząd tłoczyło się roboty. Nie narzekała jednak. Mogło przecież być gorzej, gdyby nie dobrzy, życzliwi ludzie. Bo choćby Jerzy Neuthal. Obcy zupełnie człowiek, a tyle okazał życzliwości. Ma-

rzyła o tem, że kiedyś Włodek odzyska na nowo jego zaufanie, stanie na czele biura, a tamto zatrze się zupełnie, wymaże; będą obydwaj żyć w serdecznej przyjaźni, zadzierzgniętej oddaną przysługą. Widziała już to wszystko na dobrej drodze, tembardziej, że z domem w Alejach nawiązały się stosunki towarzyskie. Zaczęło się w ten sposób, iż w parę dni po owej niezapomnianej rannej wizycie, Jerzy Neuthal, idąc z matką do teatru, zaprosił Włodka i Ankę. Obdarowana czekoladkami, rozradowana, przywiozła potem wszystkich do domu na herbatę. Panie rozstały się, sobą oczarowane i obiecały wzajemnie się odwiedzać.

W ten sposób Jerzy Neuthal postanowił zatrzeć wrażenie niemiłej sprawy. Anka to zrozumiała i oceniła.

Zbliżała się Wielkanoc. Wypadła wcześnie w tym roku, więc mroźno i śnieżno było na świecie. Mimo to czuć było w powietrzu wiosnę. Anka szła do czytelni odmienić książkę — jedyną rozrywkę, na jaką teraz mogła sobie pozwolić. Nie chodziła do teatru, ani kina, obliczała z ołówkiem w ręku najdrobniejsze wydatki, często przebiegała piechotą całe kilometry, aby kilka groszy zaoszczędzić. Propozycję wzięcia z biura choćby drobnej sumy odrzucała kategorycznie. Każda niewydana dziesiątka przybliżała moment, w którym nie będzie długów. To też, mimo zbliżających się świąt, nie czyniła prawie żadnych zakupów. Jeśli chodziło o nią samą, było jej zupełnie obojętne, co będzie jadła, ale Włodkowi sprawiałoby może przykrość, że w tym roku jest specjalnie inaczej i to z jego winy. Należało się przytem liczyć z gośćmi — i dlatego Anka zatrzymywała się przed wystawami, gdzie piętrzyły się świąteczne przysmaki. Wszystko jednak było tak drogie w porównaniu z jej możliwościami, iż wreszcie postanowiła nie patrzeć, aby nie ulec pokusie. Wtem oczy padły na rząd hijacyntów, ustawionych za szybą kwiaciarni. Stanęła i wpatrzyła się w jędrne różnobarwne stożki. Orzeźwiający zapach zdawał się przenikać poprzez okno, przypominając dzieciństwo i Wielkanoc. Jakże chętnie zakupiłaby je wszystkie! A tu nawet o jednym nie mogło być mowy. Poraz pierwszy gdzieś na dnie serca zrodziła się odrobina buntu i goryczy, że tak ją dobrowolnie naraził na pracę ponad siły i niedostatek.

— Może wreszcie tym razem, pomyślała na pociechę, nie będzie w domu pijackich wybryków, jakie od lat nieodmiennie towarzyszyły wszystkim świętom.

Gdy wróciła do domu, humor poprawił się jej do reszty, zastała bowiem zaproszenie pani Neuthalowej na obiad w pierwszy dzień świąteczny. Ucieszona, spojrzała na Włodka. Zdawał się być smutny i przygnębiony. Zapadłe oczy obojętnie patrzały na świat. Uczuła wyrzuty sumienia. Jakże błahy wydawał jej się żal, że nie ma kwiatka, gdy on tymczasem najwidoczniej jest chory, a przytem nierównie ciężej jest mu zdążać do celu, w pełni świadomości, że sam się od niego oddalił. Podeszła z uśmiechem i, patrząc mu serdecznie w oczy, odezwała się:

— Mój ty biedaku, takiś mizerny; cieszę się, że sobie w święta odpoczniesz.

Kiedy w Wielki Piątek długo z biura nie wracał, w ciągu pierwszych godzin usiłowała wmówić w siebie, że się nic nie stało. Dopiero wieczorem ogarnął ją paniczny lęk.

— żeby tylko nie to najstraszniejsze, myślała, przerażona samem wspomnieniem błędnych oczu i tragicznie bezmyślnej twarzy.

Podeszła do okna. W całej kamienicy panował świąteczny nastrój. Przez umyte szyby widać było gorączkowe krzątanie. Jakże było jej smutno. Rada była skrócić to nieznośne oczekiwanie. Niestety, godziny mijały, a ona niepewna, nie umiejąc zahartować serca, drżała z lęku, w trwodze o honor i resztki miłości, jakie, roztrwonione i rozsypane, tak skrzętnie zbierała i otrząsała z pyłu.

Około północy wrócił wreszcie, podniecony, wesoły, z wypiekami na twarzy. Odrazu z pierwszych słów poznała, że jest pijany. Wystarczyło zresztą na niego spojrzeć: marszczył specjalnie czoło, a brwi wysokim łukiem unosiły się w górę.

— Poznałem nareszcie ludzi! — wołał. — Od jutra, zobaczysz, rzucę to przeklęte biuro, zabiorę ciebie i pojedziemy do Rosji. Tam jeszcze można użyć życia! Ja im pokażę, co mogę znaczyć! Nie wierzysz? Nie wierzysz? — powtarzał natarczywie.

Chciało jej się wybiec na ulicę i wniebogłosy wołać ratunku, a jednocześnie zamykała okna, żeby nikt jego krzyków nie słyszał. Zawiodły więc wszystkie rachuby! Nie posunęła się w walce ani o krok, nie potrafiła ułaskawić wroga, zaczajonego w każdym kieliszku, czyhającego na spokój.

Zofja Koskowa.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PRASY.

W SPRAWIE ALKOHOLIZMU I DEMORALIZACJI WŚRÓD MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

W prasie codziennej coraz częściej spotykamy się z notatkami i artykułami o niezwykle groźnie szerzącym się alkoholizmie i demoralizacji wśród młodzieży szkolnej. Rzecz jasna, że zjawisko to jest odbiciem fatalnego stanu rzeczy w tej dziedzinie wśród starszego pokolenia. Szczególnie silnie zaalarmował pod tym względem opinję publiczną krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny", poświęcając tej sprawie kilka dłuższych artykułów.

Pierwszy z nich, zamieszczony w Nr. 268 „I. K. C." brzmi:

„BEZ WÓDKI NIE UZNAJĘ ZABAWY!..."

Coś zanadto używa życia... gimnazjum w Lidzie.

„Dzisiaj więc aktualną rzeczą jest podział pracy, oparty o psychikę obu płci. A jest ona tak odmienna jak noc i dzień. Najjaskrawiej odzwierciedla się to w poglądach na miłość. Kobieta pragnie przeważnie miłości szlachetnej, bezgrzesznej. Mężczyzna — więcej zmysłowej. Kochać, według niego, można tylko jednocześnie i duszą i ciałem.

„Tak rozumując, puszcza się na krzywe drogi, szukając często zadowolenia w prostytucji. A tradycja z okresu jego panowania nad kobietą przyznaje mu w tej mierze dwa prawa.

„Stoimy wobec nowego zagadnienia, wobec dwu różnych poglądów, wyłaniających się w związku z zupełnem zrównaniem kobiety, z pełnią danej jej swobody. Czy dopuszczenie za przykładem mężczyzn do swobody obyczajowej wśród kobiet, czy zmniejszenie praw mężczyzny?

„Najnowsza literatura, stojąc na stanowisku czysto objektywnem, proponuje kompromis. Kobieta ma wyzbyć się pewnych przestarzałych konwencjonalnych poglądów, a stać się szczerą i prostą, mężczyzna jednak bezwarunkowo musi zaniechać dotychczasowego trybu życia. Czyż nie godne litości bywa bowiem czasem życie młodego chłopca?"

Tytuł tych wywodów: „O rozszerzenie praw kobiety".

Któż to walczy tak o nową etykę seksualną? Któż z taką czupurnością pragnie rozszerzyć prawa kobiety? Czy to jakieś nowe „Wiadomości Seksualne"?

Anibyście przypuszczali, szanowni Czytelnicy, skąd cytata wzięta?! Oto z pisma, które nosi tytuł: „Hallo! tu Gimnazjum!", miesięcznik uczniów państwowego gimnazjum im. Karola Chodkiewicza w Lidzie. Dziwne gimnazjum — dziwne pismo. Któż tu jest jego redaktorem: Oleg Wachowski, Włodzimierz Citowicki, opiekunka pisma prof. Zofja Westfalewiczówna. Oryginalna zaiste opieka!

Jest jeszcze coś „lepszego" w innym numerze tego pisma uczniowskiego z 22 października 1933 r. Podano tam szaradę, której przyzwoitość nie pozwala nam powtórzyć. Przypominają się „najlepsze" czasy „Bociana".

Mówić o bocianie w związku z gimnazjum lidzkiem, to bynajmniej nie taki wielki nietakt. Oto — jak nam donoszą osoby wiarygodne — w koedukacyjnem tem gimnazjum mają panować stosunki, które praktycznie dążą do... rozszerzenia praw kobiety.

Nietylko pod względem erotycznym to gimnazjum jest zaawansowane, ale też i pod innemi. Kradzieże i bijatyki — to zupełnie nie rzadkość w tym średnim zakładzie. W lutym b. r. skradziono z kancelarji dyrekcji gimnazjum 385 zł., oraz po zabawie uczniowskiej wartościowy kilim. W tym samym miesiącu dwóch uczniów wdarło się do kooperatywy osadników i skradło słodycze na kilkadziesiąt zł. Jeden z wychowanków tego gimnazjum napadł nawet w celach rabunkowych na urzędniczkę Państwowego Banku Rolnego, o czem w swoim czasie I. K. C. donosił. A takich wypadków jest więcej!

Dochodząc w ten sposób do gotówki, nie żałują sobie ci „serdeczni" chłopcy. Taka cnota jak np. abstynencja od alkoholu jest u nich w niewielkiem poszanowaniu. W czasie jednej z zabaw uczniowskich uczeń tańczył w stanie nietrzeźwym z nauczycielką (!!!). Zauważywszy to, zapytała go, dlaczego jest nietrzeźwy. Na to on dał jej kapitalną odpowiedź:

— Trudno, bez wódki nie uznaję zabawy!...

Nie możemy się dziwić, że na tle takiej atmosfery uczeń Flansik z klasy VI-tej A. rzuca w innym numerze wspomnianego pisma następujące „wskazania życiowe":

„Hola! Niech żyją wagary! Wiosna! Miłość! Humor! Używajmy póki czas! I popłynęły wdal melodje najmodniejszych szlagierów. Gromada sztubaków i sztubaczek skierowała swe kroki zamiast do „budy" — na „Rośtaki". Płaszcze przerzucone przez ramię, włosy rozwiane. Czapki z nadmiernego humoru właścicieli wylatują w górę.

— Jaki piękny jest świat! Bierzmy z życia, co w niem jest najbardziej „morowego"!

„Używajmy!!!..."

Naszem zdaniem nie szkodziłoby, aby tem używaniem zainteresowały się także władze szkolne, np. kuratorjum lub ministerstwo. Warto przypomnieć bowiem, że gimnazjum ma na celu nietylko trenowanie swoich wychowanków do używania, ale też do praktykowania innych cnót nieco trudniejszych!..."

Następnie w ostatnich dniach pojawiły się w „I. K .C." dwa nowe artykuły, które, ze względu na ich niezmierną wagę, podajemy w całości.

DZWONIMY NA ALARM: RATUJMY DUSZĘ NASZEJ MŁODZIEŻY!

Dnia 15 listopada w niedzielę odbył się w całej Polsce obchód ku czci św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży polskiej. W związku z tem Książę Metropolita krakowski Adam Sapieha wystąpił z publiczną enuncjacją, którą zamieściliśmy w przeważnej części wczorajszego nakładu. Książę Metropolita, podkreśliwszy, że młodzież jest przyszłością narodu i jako taka zadecyduje o jego jutrzejszem obliczu — kreśli groźny obraz demoralizacji, panującej wśród młodzieży.

„Niestety, widzimy wokoło siebie, słyszymy z opowiadań innych, czytamy w dziennikach — mówi Książę Metropolita — ile to dusz młodzieńczych stacza się na dno nędzy moralnej, zepsucia obyczajów i zbrodni. To, choć pobieżne spojrzenie w oczy rzeczywistości, woła do nas o czyn katolicki".

W końcowych ustępach swego orędzia, Ks. Metropolita Sapieha nawołuje, aby zająć się sprawą walki ze złymi wpływami wśród młodzieży i podnieść ją pod względem etycznym.

*

Obraz naszkicowany przez Ks. Metropolitę krakowskiego jest bardzo groźny i trzeba naprawdę u d e r z y ć n a a l a r m, ponieważ położenie pogarsza się z roku na rok i stało się już dziś niepodobne do tego, jakie znaliśmy wszyscy, będąc sami młodzieżą w epoce przedwojennej.

Poniżej drukujemy taki właśnie alarmujący artykuł, nadesłany nam przez wybitnego pedagoga, pracującego od lat kilkunastu w jednem z wielkich miast polskich. Nie wymieniamy tego miasta, ani nazwiska autora, ale w każdej chwili możemy czynnikom powołanym służyć bliższemi informacjami. Nie wymieniamy zaś miasta dlatego, ponieważ wiemy, iż fala przestępczości i demoralizacji nie jest jakimś smutnym przywilejem tego jednego środowiska i nie chcemy wywoływać wrażenia, że piętnujemy jedno tylko miasto, jego wychowawców i młodzież.

A teraz oddajemy głos autorowi artykułu.

*

Fakty, o których mówić chcemy, są niestety bolesne i ponure, niemniej jednakże są prawdziwe, a wymowa ich jest tak alarmująca, że zwrócić powinna czujną uwagę całego społeczeństwa. Może wymowa tych ponurych faktów, które przytoczymy poniżej,

zedrze maskę błogiego spokoju i obojętności,

którą tak skwapliwie staramy się odgrodzić, ilekroć sumienie nasze staje wobec problemów, wymagających od nas wysiłku działania i zdecydowanej postawy.

W sprawie, którą poruszamy, nikt nie może pozostać obojętnym, nikomu nie wolno przymykać wygodnie oczu na przyczyny i skutki zła, które, jak czerw, toczy siłę i nadzieję naszego jutra — naszą młodzież.

Mogłoby się wydawać, że młodzieży naszej poświęca się tak wiele bacznej uwagi, że rząd i społeczeństwo w tak zgodnym wysiłku i trosce pracują nad wychowaniem młodego pokolenia, iż owoce tych trosk i wysiłków żadnych obaw budzić nie powinny i nie mogą.

A przecież rzeczywistość mówi nam zgoła co innego. Nasilenie przestępczości

pijaństwa i rozwiązłości wśród młodzieży

szkolnej obojga płci wzrasta tak gwałtownie, że nie można ulegać złudzeniom, by miało się tu do czynienia ze sporadycznemi tylko wypadkami.

Nie bądźmy jednak gołosłowni i przejdźmy do tej ponurej litanji faktów, które stwierdzą najdowodniej, że nie chodzi tu o uogólnienie na podstawie kilku odosobnionych wypadków, lecz o przejawy choroby, która ma wszelkie cechy groźnej

epidemji. Dla ścisłości dodać należy, że fakty tu cytowane, zdarzyły się na terenie jednego tylko miasta — miasta, na które zgniłe wpływy Wschodu zawsze jeszcze działają — w okresie jednego tylko roku; że o większości z nich znaleźć można krótkie notatki reporterskie w całej niemal prasie polskiej, lecz zagubione w małych rubrykach codziennych kronik policyjnych nie wywołały żywszego echa i nie poruszyły opinji publicznej; że wreszcie wszystkie są

najdokładniej sprawdzone i zgodne z rzeczywistością, bo z aktami policyjnemi!

A oto długi i bynajmniej niezupełny szereg tych faktów:

PONURA LITANJA WYPADKÓW.

1) Włamanie się dwu uczniów szkoły zawodowej do kancelarji szkoły, zdemolowanie szaf i biurek i kradzież maszyny do pisania.

2) Uczeń państwowego gimnazjum, syn zamożnych rodziców, napada na ludnej ulicy w śródmieściu na urzędniczkę, wyrywa jej torebkę z pieniędzmi i ucieka. W sądzie tłumaczy się, że potrzebował pieniędzy na zabawę.

3) Dwaj uczniowie szkoły powszechnej napadają wieczorem na przechodnia w celach rabunkowych, raniąc go nożami i spłoszeni uciekają.

4) Siedmiu uczniów najstarszej klasy średniej szkoły zawodowej podczas wycieczki naukowej do zakładów garbarskich kradnie parę kilogramów skór, a podczas wycieczki do fabryki tytoniu nieustaloną ilość tytoniu i papierosów.

5) Kilku uczniów szkół średnich, dojeżdżających do szkoły koleją, napada w pociągu na przekupniów, jadących na targ do miasta, rozkrada im cały zapas jabłek, rozrzuca po przedziale i rozbija kilkadziesiąt jaj.

6) Uczeń szkoły zawodowej trudni się sutenerstwem i katuje swą ofiarę, gdy nie chce mu oddać wszystkich „zarobionych" pieniędzy.

7) Uczeń innej szkoły zawodowej utrzymuje intymne stosunki z pracownicą fryzjerską, a gdy ta nie chce mu być powolna, katuje ją w nieludzki sposób, wybija jej zęby, grozi nożem i t. p.

8) Uczennicę gimnazjalną, córkę poważnego urzędnika sądowego, znajdują w towarzystwie męskiem nieubraną w gabinecie restauracyjnym.

9) W dyskretnej loży lokalu klubowego „bawi się" uczenica gimnazjalna z młodym porucznikiem, a „zabawa" kończy się interwencją pogotowia ratunkowego.

10) Rewizja policji obyczajowej w jednym z podejrzanych domów znajduje czterech uczniów pijanych na zabawie z dziewczętami lekkich obyczajów.

11) Na stancji uczniowskiej trzech uczniów szkoły średniej urządza codzienne niemal libacje w towarzystwie kobiet podejrzanego prowadzenia się.

12) Trzynastoletnia uczenica szkoły powszechnej zostaje matką i jako ojca wskazuje swego kolegę klasowego, z którym bawiła się w szkole(!) po lekcjach.

13) Badanie lekarskie, przeprowadzone w żeńskim zakładzie średnim, stwierdziło, że trzy uczenice są chore podejrzanie, a jedna oczekuje potomstwa.

14) Uczeń średniej szkoły zawodowej upija się w lokalu publicznym i rani do krwi nauczyciela innej szkoły, znajdującego się w tym lokalu.

15) Na zabawie publicznej dwaj uczniowie biją się nożami o dziewczynę, tak, że musi interwenjować policja.

I na zakończenie tej straszliwej listy wyniki bezimiennej ankiety, przeprowadzonej wśród 150 uczniów jednej ze średnich szkół zawodowych. W ankiecie tej

67 proc. uczniów przyznało się do pijaństwa

(26 proc. nałogowo), 9 proc. do stałego uprawiania kradzieży, 17 proc. do nałogo-

wego karciarstwa. Cyfry uzyskane drogą ankiety w jednem z gimnazjów są mniej więcej podobne do cytowanych, prócz tego jednak wśród chorób, na jakie uczniowie chorowali, 21 proc. podaje choroby podejrzane (na 194 uczniów!).

Oto

ponura i przerażająca statystyka

faktów, zebranych dorywczo w ciągu jednego tylko roku w jednem mieście!

A przecież miasto to nie jest niestety jakimś specjalnym wyjątkiem, gdyż fakty podobne notuje również prasa innych województw Polski.

Czyż więc ta okropna lista, którą przytoczyliśmy powyżej, nie jest groźnem ostrzeżeniem, nie jest

dzwonem alarmowym

wzywającym społeczeństwo całego kraju do przedsięwzięcia jak najrychlej skutecznych środków zaradczych?

Winy za ten rozpaczliwy stan rzeczy nie można przecież kłaść na karb samej młodzieży, gdyż ta, żyjąc w zatęchłej atmosferze współczesnego życia i czerpiąc przykłady z życia dorosłych, ulega nieraz lekkomyślnie i bezkrytycznie pokusom, które deprawują jej młode dusze i wiodą na bezdroża występku i nieprawości.

Odpowiedzialność za deprawację młodzieży, która grzęźnie bez ratunku w ohydnem błocie demoralizacji, ponosi starsze społeczeństwo, a przedewszystkiem rodzice i ci wszyscy, którym wychowanie młodzieży w szkołach powierzono.

Bo czegóż można oczekiwać od młodzieży, jeśli tu i ówdzie dyrektor szkoły, czy nauczyciel popełnia defraudacje i oszustwa; jeśli nauczycielka szkoły powszechnej przez dwa lata utrzymuje ze starszym uczniem swojej szkoły intymne stosunki, przezwyciężając jego wstydliwość i onieśmielenie alkoholem; jeśli nauczycielka na oczach całej wsi urządza orgje z parobkami; jeśli nauczyciel szkoły zawodowej korzysta z „usług" swego ucznia-sutenera, jeśli inny nauczyciel fotografuje w swem mieszkaniu uczenice swej szkoły w negliżu; jeśli...

Tu autor przytacza fakty, których niestety nie możemy podać ze względu na to, iż hipokryzja, tak silna niestety w naszych stosunkach, powstałaby zgodnie przeciwko nam, mobilizując przeciwko akcji, o którą walczymy, różne siły w imię... rzekomej walki o moralność i etykę. Czytelnikom naszym jednak wystarczają chyba przykłady powyżej przytoczone. Przy tej okazji poruszamy ubocznie jeszcze inną sprawę związaną pośrednio z przytoczonym przykładem demoralizacji na tle stosunków między nauczycielką a dorastającym chłopcem-uczniem... szkoły ludowej! Jest to jedno z wielu niebezpieczeństw, połączonych z wieloklasową strukturą szkół. Dziecko 7-letnie, które w siedmioklasowej szkole styka się codziennie z 14-to do 17-to letniemi wyrostkami, zbyt łatwo i szybko uświadamia się, co napewno nie wpływa dodatnio na jego rozwój moralny. O sprawie tej pomówimy zresztą osobno.

. . . .

To niestety są fakty, które się chętnie przemilcza, zamiast

głośno i zdecydowanie je napiętnować.

Wychowawca młodzieży musi być przedewszystkiem sam najlepszym przykładem dla młodzieży, inaczej wara mu się imać subtelnej i odpowiedzialnej pracy wychowawczej! Nie negujemy ogromnych zasług i wysokich kwalifikacyj moralnych ogółu nauczycielstwa polskiego, jednakże tolerowanie wśród społeczności nauczycielskiej ludzi postępujących niemoralnie i deprawujących młodzież, jest stanowczo niedopuszczalne. A jednak jednostki, których wartości wychowawcze zilustrowaliśmy powyżej garścią dorywczo wybranych faktów, pracują do dziś dnia w szkolnictwie i pełnią obowiązki wychowawców młodzieży!

Programy, instrukcje i specjalne wydawnictwa oficjalne kładą dziś tak wielki

nacisk na sprawę wychowania młodzieży, że dają mu pierwszeństwo przed właściwym celem szkoły — nauczaniem. Zupełnie słusznie. Pojęcie wychowania jednak jest niezmiernie rozciągłe i nie da się sprowadzić do roli szablonowej formułki, której stosowanie pozwoli osiągnąć pożądane rezultaty.

Z taką energją realizowane dziś przez władze szkolne wychowanie państwowe musi iść w parze z pogłębianiem wychowania moralnego, na które w dzisiejszych szkołach zwraca się niestety zbyt małą uwagę. Człowiek głęboko moralny będzie zawsze siłą rzeczy dobrym obywatelem państwa, wychowanie więc młodzieży winno przedewszystkiem iść w kierunku wytworzenia w duszach młodzieży silnych hamulców moralnych, winno się odbywać na mocnej i szerokiej podstawie etycznej.

Nie ulega wątpliwości, że wychowanie młodzieży na tej właśnie podstawie oparte, oraz staranna selekcja nauczycieli-wychowawców, zapobiegłyby w dużej mierze tej psychozie występków przeciwko etyce i moralności, która ogarnęła tak wielkie szeregi dzisiejszej młodzieży.

Najlepsze jednak wysiłki szkoły, najstaranniejszy nawet dobór wychowawców nie dadzą pożądanych rezultatów, jeśli nie podniesie się wydatnie

ogólny poziom etyki i moralności społecznej.

Rola państwa w tej dziedzinie może być decydującą. Niestety, wymiar sprawiedliwości w Polsce pozostawia pod tym względem wiele do życzenia. Kradzieże, bandytyzm, nieobyczajność i t. p. występki i zbrodnie cieszą się w naszym kodeksie karnym nadmierną i wręcz szkodliwą tolerancją i liberalizmem, co nie wpływa bynajmniej hamująco na ilość i częstość przestępstw. Obostrzenie kar za wspomniane wyżej występki i to w stopniu bardzo znacznym w naszym kodeksie karnym, wpłynęłoby w dużej mierze na zmniejszenie się ilości przestępstw, a co za tem idzie, ułatwiłoby też poważnie pracę szkoły nad wychowaniem młodzieży.

Dzwonimy więc na alarm! Sprawa jest zbyt poważna i nagląca, by przejść nad nią obojętnie do porządku.

PONURE WIEŚCI ZE ŚWIATA MŁODZIEŻY.

Demoralizacja zatacza coraz szersze kręgi!

Katowice, 15 listopada.

Z powodu wydrukowania w Nr. 323 „I. K. C." z dnia 21 listopada r. b. artykułu p. t. „Ratujmy duszę naszej młodzieży!" proszę przyjąć serdeczne podziękowanie dla „I. K. C." za poruszenie tej sprawy, która jest bodaj najważniejszą ze wszystkich bolączek, jakie zaprzątają umysły kierowników społeczeństwa i państwa.

Istotnie z tą „przyszłością", jak się nazywać zwykło młodzież, nie jest dobrze. Jest nawet źle! Przykłady, przytoczone w artykule „I. K. C.", nie są wyjątkiem! To są fakty, które zdarzają się codziennie i w każdej niemal szkole.

Straszliwa wymowa faktów.

Demoralizacja jest dziś stałym gościem wśród młodzieży szkolnej.

W zakładzie koedukacyjnym, w którym uczyłem w zeszłym roku szkolnym, były dwa wypadki. W jednym uczenica musiała opuścić zakład, bo — została matką, w drugim sąsiedzi donieśli, że uczenica uprawia nierząd i chodzi... do ósmej klasy gimnazjum. Jak dochodzenia stwierdziły, istotnie fakty te były prawdziwe, a kiedy sprawa wyszła na jaw, rodzice usiłowali... przekupić dyrektora i gospodarza klasy! Skoro to się nie udało, posypały się pogróżki. Dodatkowo policja stwierdziła, że uczenica ta była raz zanotowana za kradzież torebki na rynku. I to była uczenica ósmej klasy gimnazjum!

Obydwie uczenice wystąpiły ze szkoły... przed ukaraniem i zapewne w tym roku zapisały się... ponownie do szkoły na podstawie starych świadectw...

W innym wypadku, który mi dopiero przed tygodniem opowiadał mój kolega — także nauczyciel w państwowej szkole średniej — uczeń klasy 8-mej nabawił się sekretnej choroby, chodzi dalej do szkoły, a pedagogowie jego wyrazili mu tylko... współczucie w „nieszczęściu", jakie go „przypadkiem" spotkało (!!).

W zeszłym roku w naszym zakładzie uczniowie chcąc wiedzieć co było mówione na konferencji przedmaturycznej zorganizowali „podsłuch" w kominie na strychu, używając do tego celu ucznia, który na początku roku został wyrzucony ze szkoły za złe prowadzenie się. Impreza ta była tak zorganizowana, że dla „podsłuchu" uczniowie przygotowali nawet podwieczorek... Kiedy wykryto spisek i przyłapano z głową w kominie „podsłuch" — zajęła się nim policja (ponieważ nie był uczniem), ale młodzież „dojrzewająca", ta, która miała za kilka tygodni otrzymać patent dojrzałości, z zemsty na dyrektora, że wykrył „podsłuch", po którym wiele sobie obiecywali, podrzuciła „bomby" łzawiące pod drzwiami dyrekcji, tak, że trzeba było młodzież wysłać do domu, bo nie można było prowadzić lekcji. Wszyscy płakali i kaszlali. Ta sama młodzież „dojrzała" groziła opiekunowi klasy: „Niech pan uważa! Ma pan żonę i dziecko! — My tu zrobimy porządek i cała ta buda poleci w powietrze!"

Kiedy sprawie przyjrzały się władze i posłuchały odpowiedzi tych „bohaterów" przy egzaminie maturycznym, okazało się, że połowa — to ciemnota umysłowa i w rezultacie na 36 — 18-tu reprobowano.

Skutki bezkarności i zbytniej swobody.

Ale to jeszcze nie wszystko! Litanja „faktów" w tym dziale jest nieskończona... Trudno je tu podawać wszystkie, niemniej zaznaczyć trzeba, że stan ten z dnia na dzień pogarsza się. Młodzież bezkarnie rozwydża się.

Uwaga jest zwrócona na wychowanie państwowe, ale równocześnie wychowanie moralne schodzi niestety na psy. Stan ten wywołany jest zbyt wielką swobodą, jakiej zażywa nasza młodzież. Uczniowie chodzą po dancingach, uczniowie po kabaretach, nawet z koleżankami, uczniowie w mundurkach szkolnych z papierosami w ustach wycierają ulice i bruki, szkoły się bawią. Co tydzień jakaś herbatka, jakieś „potańcowisko". Młodzież upija się! Kilka razy słyszałem, że w szkole tu i tam znaleziono w piecach opróżnione flaszeczki z monopolu. I to po lekcjach!

Ale nie tylko młodzież jest winna takiego stanu. Winna szkoła, winni wychowawcy, winni rodzice! Jeżeli rodzice nie pilnują swych dzieci, jeżeli sami nie zabraniają młodzieży ginąć w zgniliźnie moralnej — to któż jest odpowiedzialny? Wszyscy odpowiedzą chórem: „Szkoła dzisiejsza przejęła na siebie obowiązek wychowania! My nie mamy czasu!" I to jest czystą prawdą. Dom niezawsze ma czas na zajęcie się wychowaniem swego dziecka, ale często dom (zwłaszcza w t. zw. warstwach „niższych" nie dorósł do tego, aby wychowywać! A tymczasem szkoła, a właściwie jej wychowawcy uważają, że karanie ucznia za niemoralne prowadzenie się, jest... mieszaniem się w jego sprawy intymne.

Ale takie stawianie sprawy w szkole — to, mojem zdaniem, popieranie przez szkołę zgnilizny! To wskazywanie innym drogi do złego.

Wielu wychowawców nie zdaje sobie sprawy z tego, że są dziedziny, w których nie można pardonować, bo zginie nasza młodzież w bagnie demoralizacji.

Dwaj uczniowie szkoły średniej zawodowej sprowadzają się na nową „stancję" i na pierwszą noc przyprowadzają podejrzane towarzystwo z ulicy! — to obrazek godny Bolszewji! A to tymczasem dzieje się w Polsce!

Niesumienni wychowawcy.

Czasem przykład idzie z góry. Słyszałem, że obecnie jeden z moich kolegów na pewnej wycieczce szkolnej, kiedy zaprowadził w jakiejś wsi młodzież do domu za-

jezdnego — pozwolił napić się i piwa i wódki, a kiedy byli w humorach, nauczyciel zaczął się zalecać do jednej bufetowej, uczeń do drugiej... Inna znów koedukacyjna wycieczka w Gorgany nie doszła do celu, bo... pan, który był wychowawcą i kierownikiem wycieczki pozwolił, aby młodzież obojga płci leżała pijana po wagonach i awanturowała się po dworcach.

Nie pisze się o tem jednak w prasie, nie wiedzą o tem wyższe władze, bo do „góry" wszystko dochodzi „bronzowione". Ci, którzy na to patrzeć nie mogą, muszą milczeć związani „tajemnicą służbową" przez niesumiennych „kacyków". Muszą milczeć, jeżeli chcą mieć na chleb dla siebie i rodziny, jeżeli nie chcą zginąć z głodu i być na zawsze wymazanymi z listy ludzi pracujących. To są stosunki nieznośne, dlatego atmosfera jest nieczysta, dlatego młodzież nasza bez protestu tonie w bagnie demoralizacji.

Czas było rzucić hasło alarmu. I dobrze, że zrobił to „Kuryer", który dociera do rąk każdego niemal wychowawcy, który jest w każdej szkole, czytają go wszyscy rodzice...

Kto widzi grozę sytuacji — na szańce w obronie najpiękniejszych pierwiastków duszy naszego młodego pokolenia!"

*

Podaliśmy bez skrótów powyższe artykuły „Il. Kurjera Codziennego", gdyż poruszyły one i odsłoniły jedną z najboleśniejszych stron naszego życia. — Obyż artykuły te nie przeminęły bez echa, oby przyczyniły się do radykalnej zmiany poglądów i na zagadnienie alkoholizmu wśród młodzieży; bo przecie w tym ponurym kalejdoskopie faktów niepokojących — alkohol był sprawcą wielu, bardzo wielu z nich!

KRONIKA.

INWALIDZI W SPRAWIE SPRZEDAŻY ALKOHOLU. „P. Prezes Rady Ministrów, prof. L. Kozłowski, przyjął dn. 22.X. r. b. delegację zarządu głównego Związku Iwalidów Wojennych Rzpltej z posł. Wagnerem na czele, która przedstawiła ujemne skutki, jakie mogą grozić inwalidom wojennym — koncesjonarjuszom monopolowym, przez powiększenie kontyngentu koncesyj na sprzedaż wyrobów alkoholowych.

Premjer Kozłowski życzliwie potraktował przedstawione mu postulaty Związku Inwalidów i oświadczył, że zwrócił uwagę na to, by zamierzona reorganizacja sprzedaży wyrobów monopolowych nie przyniosła szkód warsztatom pracy inwalidów wojennych" (Gazeta Polska, 23.X. 1934).

ZJAZD NAUCZYCIELI SZKÓŁ SPECJALNYCH. W dn. 4 — 6 października odbył się w Warszawie Zjazd Nauczycieli Szkół Specjalnych. Wśród licznych referatów tego niezmiernie interesującego Zjazdu znajdował się m. in. referat p. red. Jana Szymańskiego p .t. „Zadania nauczyciela szkoły specjalnej w walce z alkoholizmem", wygłoszony na plenarnem posiedzeniu Zjazdu w pierwszym dniu obrad. Dość obszerny referat, przyjęty niezmiernie przychylnie, wprost owacyjnie, przez licznie zgromadzonych słuchaczy (około 500), zakończony był następującym wnioskiem: „II Zjazd nauczycieli Szkół Specjalnych, uważając alkoholizm dzieci w wieku szkolnym za groźne niebezpieczeństwo dla Państwa, oraz za niezmierną przeszkodę w kształceniu przyszłych obywateli kraju, uznaje za konieczne zwalczanie tej klęski przez szkołę.

W odniesieniu do szkół specjalnych Zjazd uważa za niezbędne, obowiązkowe wprowadzenie na konferencje rodzicielskie zagadnienia alkoholizmu i jego zwalczania — temat ten na konferencjach prowadzić winni tylko ci nauczyciele lub też nauczycielki — którzy ukończyli Kurs Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny".

JUBILEUSZ. Uczczenie 25-lecia Ukraińskiego Towarzystwa walki z alkoholizmem „Widrodżennia" we Lwowie odbyło się dnia 25 listopada b. r. — Z powodu tej uroczystości wysłany został następujący telegram: „Towarzystwo Widrodżennia — Lwów — Zarząd Główny Towarzystwa „Trzeźwość", oraz redakcja miesięcznika „Trzeźwość" przesyłają w dniu jubileuszu serdeczne życzenia dalszego najlepszego rozwoju". (—) *Aleksander Iżycki.* (—) *Jan Szymański.*

SZKOŁA I ALKOHOLIZM. „Kurjer Warszawski" podał dn. 20 listopada następującą wiadomość:

„Zabawa w szkole. W szkole powszechnej przy ul. Bema Koło opieki rodzicielskiej urządza często w wygodnych klasach różne imprezy kulturalne dla starszych. W ubiegłą niedzielę odbyła się zabawa dla rodziców, którzy zadużo sobie podchmielili i w następstwie wszczęli między sobą kłótnie i bójki. W czasie tych brewerji rodzicielskich natłuczono nieco szyb w gmachu szkolnym. Trzy niepoczytalne osoby znalazły się w komisarjacie. Byli to: Jan Szwarc (Przyokopowa 5), Witold Danielewicz (Kolejowa 41) i Józef Karton (Grzybowska 17)".

I niewiadomo, co tu najwięcej podziwiać: liberalizm alkoholowy pedagogów, czy gwałtowność alkoholową rodzicieli?... Ale teren... teren..., wszak to szkoła, gdzie według ustawy przeciwalkoholowej nie wolno „popijać"! — Co na to wyższe i najwyższe władze oświatowe? Jeżeli takie obyczaje mogą panować w gmachach szkolnych *stołecznych*, czyż można się dziwić, że trzeba przeprowadzać i ogłaszać statystyki „narkomanij w szkole" w całej Polsce?.... Zresztą statystyki niewiele pomogą, o ile nie zechce się z ich wyników wyciągnąć należytych wniosków... Zamiast alkoholu w szkole powinna się znaleźć jaknajprędzej — alkohologja!

WSZĘDZIE ALKOHOL. Jeżeli podobnego rodzaju „wypadki" mogą zachodzić w szkole — to nic dziwnego, że nie lepiej dzieje się i gdzie indziej. Naprzykład... w więzieniu. Jak wynika ze sprawozdań z rozprawy sądowej przeciw b. naczelnikowi więzienia w Warszawie przy ul. Długiej t. zw. „Arsenale", Bronisławowi Hałubce, oskarżonemu o cały szereg nadużyć — w więzieniu tem tolerowano pijaństwo wśród więźniów. (Podczas śledztwa i rewizji wykryto w celach znaczną liczbę pustych butelek i buteleczek monopolowych, oraz butelek z wódką, lub z innymi droższymi napojami, jak np. nalewki owocowe).

A oto inny obrazek alkoholowy — wyświetlony również na przewodzie sądowym, tym razem w sądzie wojskowym: proces płatnika 1-go P. Szwoleżerów kpt. Kowalskiego. (Ogółem suma nadużyć 11.785 zł.). Jeden ze świadków zeznaje w sprawie pozycji 250 zł. i 50 zł., wołając: „ja już pamiętam na co te pieniądze były wydane"... „piliśmy całą noc i przepiliśmy kilkaset złotych". — A więc najrozmaitsze lokale, sfery i okoliczności... zarazek alkoholowy trafia wszędzie, szerząc zawsze upadek i zniszczenie; nie ominął on też krain górnych i chmurnych, bo oto, jak doniósł „I .K. C.", w schronisku „Tow .Tatrz." na Hali Gąsienicowej „wprowadzono w bufecie jako nowość trunki alkoholowe i na ladzie jest kilkanaście butelek różnych wódek i likierów". I słusznie piętnuje „I K. C." tolerancję w „zrobieniu szynku ze schroniska".

Szkoła, „Arsenał", Hala Gąsiennicowa — wszystko pod znakiem alkoholu. Nieźle — postęp i kultura! Ale „Jaka?" — Już znany przewodnik Chmielowskiego, wydany przed 30 laty, mówi o szkodliwości używania alkoholu podczas wycieczek górskich; a czyż straszliwa tragedja Kaszniców została zapomniana zupełnie? Mało tej nauki?

WALKA Z NARKOMANJĄ W SZKOLE. Pod takim tytułem referat zbiorowy dla nauczycielstwa i wychowawców oraz rodziców, urządziła w Krakowie 5.XI. „Trzeźwość". Słowo wstępne powiedział prezes Kaz. Kalinowski, poczem w dłuższym referacie sprawę omówił delegowany w tym celu przez Ministerjum Opieki Społecznej,

red. Jan Szymański, a wymowną ilustrację do jego wywodów stanowiły szczegółowe objaśnienia przez dyrektora Kaz. Hrabina szesnastu tablic wykreślonych przez niego samego w wyniku ankiet wśród młodzieży szkolnej. Statystyczne cyfry, dowodzące, do jakich rozmiarów zaczyna dochodzić używanie alkoholu i eteru przez uczniów szkół powszechnych, nie mówiąc o młodzieży szkół średnich, sprawiły tak silne wrażenie, że mnóstwo osób wychodziło z sali w niezwykłem przygnębieniu i długo na ten temat ze znajomymi dyskutując, nie mogło ochłonąć z przerażenia, gdyż nie zdawano sobie sprawy z rozmiarów narkomanij wśród dzieci. Sala była pełna, a słuchaczami było przeważnie nauczycielstwo, którego dotychczas nigdy nie można było zgromadzić na tego rodzaju wykładach. (E.)

KONFERENCJA SFER NAUKOWYCH. W Krakowie 6.XI. w Uniwersytecie Jagiellońskim, na zaproszenie prezydjum „Trzeźwości", odbyła się konferencja przedstawicieli nauki z delegatami miejscowych władz, instytucyj i organizacyj, dla naradzenia się nad przygotowaniem Polski do Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie. Głównym celem tego zebrania było zainteresowanie uczonych krakowskich tą sprawą, by na światowym Kongresie w stolicy naszego Państwa mogła nauka polska wystąpić godnie z wynikami oryginalnych badań i doświadczeń w zakresie alkohologji. Po zagajeniu dyskusji przez prezesa Kaz. Kalinowskiego, wygłosił wyczerpujący referat w tej sprawie p. red. Jan Szymański z Warszawy, jako delegat Ministerjum Opieki Społecznej. W ożywionej dyskusji zabierali głos m. in. prof. U. J. i dyrektor Kliniki neurologicznej, dr. Pieńkowski i prezes krakowskiego Oddziału Tow. Psychjatrycznego, a dyrektor państw. Zakładu dla chorób umysłowych w Kobierzynie, dr. Stryjeński, a także prezes Towarzystwa Filozoficznego, prof. U. J. dr. Rubczyński, oraz sekretarz Uniwersytetu, dr. Reguła, który w prowadzonych przez siebie na terenie 4 województw „Powszechnych Wykładach Uniw. Jag." uwzględnia osobny dział alkohologji.

Kiedy była mowa o narkomanji w szkole i potrzebie przeprowadzenia pod kierunkiem Kuratorjum ankiet nauczycielskich wśród młodzieży szkolnej, dał się odczuć brak na Konferencji przedstawicieli władz oświatowych, podobnie jak reprezentantów Miasta, podczas gdy przybyli z wojewódzkiego Urzędu zdrowia i opieki społecznej naczelnik dr. Salak i inspektor dr. Parfanowicz, jak również przez swych delegatów uczestniczył w obradach i Sąd Apelacyjny, i Starostwo grodzkie, Ubezpieczalnia Społeczna, Dyrekcja Kolei i t. d. Z powodu tej Konferencji, dla porozumienia się z jej organizatorami w sprawach z nią związanych, przybyli tegoż dnia do Krakowa kierownicy społecznej akcji przeciwalkoholowej w Wielkopolsce i na Śląsku, ks. dyr. Gałdyński z Poznania i sekr. Kunsdorff z Katowic.

Konferencja ta również przyśpieszyła uruchomienie na szerszą skalę działającej Przychodni dla leczenia alkoholików w obrębie uniwersyteckiej Kliniki Neurologicznej, założonej swego czasu przez ś. p. prof. Piltza i prowadzonej przez dra Frąckowiaka, a teraz w dyrektorze Pieńkowskim znajdującej nowego życzliwego opiekuna.

Konferencja dała sposobność do dyskusji nad aktualnemi przyczynami rozszerzania się alkoholizmu. Dr. Reguła m .in. poruszył sprawę 50-groszowych buteleczek monopolowych wódki, które stały się dostępne dla biedaków wygłodniałych, a także dla dzieci. Na Plantach krakowskich stale rankami widać masowo, porzucone po wypróżnieniu, takie dla wszystkich w handlu dostępne buteleczki, wieczorami zaś orgje szumowin po zakątkach, czemu właśnie sprzyjają te minjaturowe monopolówki. Konferencja upoważniła przewodniczącego, by powziętą w tej sprawie jednomyślną rezolucję zebranych przesłał pod adresem Władz centralnych. (*E.*)

ŚWIACK. W dniu 20 października r. b. jako w rocznicę oficjalnego otwarcia odbyła się w Państwowym Zakładzie Leczniczym dla nerwowo-wyczerpanych w Świac-

ku uroczystość w gronie „rodzinnem": wspólny obiad pacjentów i personelu Zakładu, podczas którego dłuższe przemówienie na temat działalności Zakładu wygłosił Dyrektor Dr. H. Zajączkowski, podkreślając, że owocem tej działalności ku jego wielkiej radości są dobre wieści, nadchodzące od byłych pacjentów w odpowiedzi na rozesłaną ankietę. W imieniu pacjentów odpowiedział p. M., wyrażając pewność, że i od obecnych pacjentów przy następnej ankiecie takież wiadomości nadchodzić będą. Po obiedzie w salonach recepcyjnych Zakładu odbył się raut dla pacjentów i niewielu zaproszonych gości.

Dnia 11 listopada z okazji Święta Niepodległości odbyła się w Zakładzie uroczysta akademja, a później wieczór teatralny. Okolicznościowe przemówienie z dużą werwą wypowiedział kpt. K., poczem chór miejscowy odśpiewał szereg pieśni narodowych. Po przerwie nastąpiły numery rewjowe, ułożone na różne aktualne w Zakładzie tematy: najbardziej oklaskiwane były „Przyjazd chłopa z chorym koniem i jego w Świacku przygody", „odczyt profesora Rozendufta o kubicie jako takiej", potpouri ze znanych piosenek w ułożeniu i odtworzeniu p. K.-skiego, który z wielkim talentem i nakładem pracy wyreżyserował całą rewję. Na zakończenie odegrano wesołą jednoaktówkę „Zwarjowane podwórko". Przedstawienie to było jednocześnie inauguracją stałej sceny, zbudowanej i udekorowanej przez pacjentów Zakładu. Po przedstawieniu odbyły się tańce, na których gospodarzami byli kpt. K. i por. L.; gości było około 100 osób.

Przed kilku dniami zwiedzał szczegółowo Zakład gen. Rouppert, szef sanitarny armji; wogóle Świack dosyć często jest odwiedzany ostatnimi czasy przez osoby, interesujące się bądź lecznictwem, bądź zabytkami architektury i sztuki dekoracyjnej z XVIII wieku. (*Kn.*)

IX KURS ALKOHOLOGJI rozpoczął się w Państwowej Szkole Higjeny dn. 27 listopada przy licznym udziale słuchaczy (228). Sprawozdanie z Kursu podamy w następnym numerze; teraz zaznaczamy tylko, że w kursie bierze udział 37 lekarzy, absolwentów Sanitarnej Szkoły Podchorążych oraz 85 słuchaczy Państwowych Instytutów: Pedagogiki Specjalnej i Pedagogicznego.

WALKA Z ANALFABETYZMEM. Z inicjatywy Polskiej Macierzy Szkolnej prowadzi się szeroką agitację w sprawie zwalczania analfabetyzmu... bo w kraju naszym mamy 6,5 miljona analfabetów książkowych t. j. tyle ludzi, ilu jest Czechów w Czechosłowacji. P. Józef Stemler, dyrektor Polskiej Macierzy Szkolnej ogłosił „List otwarty do literatów i dziennikarzy", wzywając ich do krucjaty przeciw ciemnocie: wojna taka, dodaje, „potrzebuje odpowiedniego klimatu", nam się zdaje, że zasadniczy składnikiem tego „klimatu" jest *trzeźwość* literatów, dziennikarzy, działaczy oświatowych, no i przedewszystkiem szerokich mas ludności. Możność trzeźwego patrzenia na rzeczywistość — zachęci jednych do pracy i poszukiwania oraz wyboru trafnych metod w działalności oświatowej, a u innych (których liczymy na miljony), życie trzeźwe bardzo szybko wytworzy głód oświaty i wiedzy. Muszą jednak zupełnie zniknąć zamroczenie alkoholowe i jego skutki. A na to nasi oświatowcy niestety niesłychanie mało zwracają uwagi.

I. ZJAZD ABSTYNENTÓW POLSKICH. Do numeru niniejszego dołącza się program szczegółowy I Polskiego Zjazdu Abstynentów, mającego się odbyć w dniach 8 i 9 grudnia w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie.

DRUK UKOŃCZONO DN. 4.XII. 1934 R.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, sp. z ogr. odp., Senatorska 17. Tel. 251.58.

Polska Druk. Nakładowa, Sp. z ogr. odp., Warszawa, Senatorska 17. Tel. 251-58.